

MAGAZYN *razem z dodatkami*

Sypnęło śniegiem – mamy prawdziwą zimę. Jedni narzekają, inni wręcz przeciwnie

● Wyż rosyjsko-skandynawski może nas jeszcze tej zimy mocno zmrozić ● Dam pracę tokarce i tokarzowi

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami seriali i propozycji filmowych



GAZETA LUBUSKA

Piątek,
16.01.2026

www.gazetalubuska.pl

Nr 12 (22.613)
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)



Chcieliśmy innego świata

– My po prostu chodziliśmy do szkoły, słuchaliśmy Niemena i jako młodzi ludzie chcieliśmy czegoś innego niż to, co nas wtedy otaczało – mówi twórca Teatru TAQ, Edward Gramont. Jego „dzieło” właśnie kończy 50 lat. **str. 8-9**

Nr ISSN 0137-9518

Nr indeksu 350-222



Zima obnażyła dramat psów w schronisku. Co zrobi miasto? **str. 2**

Miasto pod pełną kontrolą „wielkiego brata”. System kamer za 4 mln zł. **str. 4**

Powrót do przeszłości. Najstarsza gazeta z Zielonej Góry **str. 12**

Jak polskie Cobi nie dało się duńskiemu Lego i zawojowało świat **str. 20-22**

TYDZIEŃ Z GAZETĄ LUBUSKĄ

JUTRO

● przy SOBOCIE
tłumaczy, radzi, bawi...

PONIEDZIAŁEK

● DODATEK SPORTOWY
Wyniki, tabele i analizy

WTOREK

● PULS BIZNESU
Przepisy prawne, opinie

ŚRODA

● MAGAZYN ZDROWIE
Jak zadbać o siebie i bliskich

CZWARTEK

● POD PARAGRAFEM
Historie kryminalne

PIĄTEK

● PULS POLSKI
Reportaże i publicystyka

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 68 381 70 52, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.gazetalubuska.pl

Janusz Michalczyk

MAJDAN I SZERYF
NA ROWERZE

Nic tak nie poprawia ludziom nastroju jak obśmianie celebryty. Ostatnio była ku temu okazja, gdy obywatel prowadzący na YouTube kanał Samochodoza zaprezentował filmik z Radosławem Majdanem, byłym piłkarzem, a obecnie komentatorem, biznesmenem i mężem znanej z telewizji Małgorzatą Rozenek-Majdan. Trzeba zaznaczyć, że - jak sama nazwa wskazuje - Samochodoza powstała po to, by piętnować niewłaściwe zachowania kierowców, np. parkowanie gdzie popadnie. I o to właśnie chodzi w filmiku, na którym wspiera Majdana przewyższająca go agresją anonimowa pani, przy czym w powietrzu gęsto lata niecenzuralne słowo na „k”. A poszło o to, że jadący na rowerze autor filmiku pozaginał lusterka boczne aut stojących na ścieżce przeznaczonej dla jednośladów. Tak kierowcom pasowało, bo tuż obok mieści się szkoła, do której rano odwożą, a skąd po południu zabierają dzieci.

W całej awanturze chodzi zatem o to, że samozwańczy szeryf na rowerze ośmielił się naruszyć w sposób nieszkodliwy substancję pojazdów. Jego zdaniem w celach edukacyjnych, by łamiący przepisy zreflektowali się i zmienili zachowanie. Niestety, nic nie wskazuje na to, by osiągnął swój cel. Napiętnowany w przestrzeni publicznej Majdan wydał oświadczenie, z którego wynika, że podjął wrzaskliwą interwencję, by chronić dzieci i kobiety przed rzekomą agresją ze strony zamaskowanego osobnika na rowerze. Jak widać, zastosował starą piłkarską zasadę, że najlepszą obroną jest atak.

Dla równowagi wypada dodać, że twórca Samochodozy swobodnie rewanżuje się adwersarzom słowem na „k” w spontanicznej wymianie zdań. Obie strony krzyczą wulgarnie na siebie, dając upust emocjom, ale pozostają głusi na przeciwne argumenty. Nasuwa się pytanie, czy zamiast zaginania lusterk nie lepiej byłoby zawiadomić straż miejską, która mogłaby rzeczowo pouczyć kierowców, zaś niesfornym wręczyć mandaty?

Sfilmowana pyskówka świetnie wpisuje się też w obecną atmosferę społeczną, w której wielu ludzi czuje się upoważnionych do bezkompromisowego krytykowania innych, jakby sami nigdy nie splamili się żadnym wykroczeniem. Chyba coś to o nas mówi...

”

*Filipiny oficjalnie otworzyły
swoją rynek na polskie
mięso wieprzowe
i jego podroby*

Stefan Krajewski, minister rolnictwa

Zima obnażyła dramat psów.
Co zamierza zrobić miasto?Magdalena Marszałek
mmarszalek@gazetalubuska.pl

Narastający sprzeciw mieszkańców wobec warunków panujących w gorzowskim schronisku znajduje potwierdzenie w głosach samych pracowników placówki. To oni na co dzień mierzą się z konsekwencjami braku odpowiedniej infrastruktury i widzą cierpienie zwierząt.

Warunki w jakich zimą przebywają psy w schronisku wywołały wśród gorzowian ogromne poruszenie. Zdecydowali się wystąpić z oficjalną petycją, w której domagają się realnych działań ze strony miasta.

- Ta sprawa nie powinna już dłużej pozostawać bez jednoznacznej decyzji. Warunki bytowe psów w schronisku wymagają pilnej interwencji inwestycyjnej. W dzisiejszych czasach, w państwie prawa i miastie aspirującym do miana nowoczesnego, psy pozostające pod opieką samorządu nie mogą być skazane na przetrwanie zimą w nieogrzewanych, odśnieżonych boksach. Nie są to warunki godne ani humanitarne - czytamy w petycji, o której pisaliśmy we wczorajszym wydaniu GL.

Codziennosc schroniska bez złudzeń

Jak podkreślają osoby pracujące w schronisku, społeczna mobilizacja i wsparcie mieszkańców są niezwykle ważne i dają poczucie, że problem nie jest ignorowany. Jednocześnie zaznaczają, że nawet największe zaangażowanie ludzi z zewnątrz nie zastąpi realnych i systemowych decyzji. Z ich doświadczeń jasno wynika, że możliwości schroniska są ograniczone, a potrzeby czworonogów spore.

- Robimy wszystko, żeby choć trochę ułatwić tym zwierzętom życie, ale nie jesteśmy w stanie ani zbudować ciepłych boksów, ani nowego schroniska, a to właśnie tego najbardziej tu brakuje. Stajemy na głowie, by zapewnić im jakiegokolwiek warunki i umilić pobyt, jednak naszych możliwości nie da się rozciągnąć w nieskończoność. Ludzie oddają psy nawet



Psy marzną w nieogrzewanych boksach. Co dalej z gorzowskim schroniskiem?

wtedy, gdy na zewnątrz jest minus piętnaście stopni, a dla tych zwierząt to prawdziwy dramat - przyznaje jedna z osób pracujących w schronisku.

Tegoroczna zima w wyjątkowo wyraźny sposób obnażyła skalę problemu. Ujemne temperatury dały się we znaki wszystkim zwierzętom przebywającym na zewnątrz, jednak w realiach schroniska ich skutki są szczególnie dotkliwe. Obecnie schronisko dysponuje zaledwie ośmioma ogrzewanymi boksami sterylizacyjnymi.

- Gdy nie ma w nich zwierząt po zabiegach, umieszczamy tam psy, które nie miałyby szans przetrwać w zewnętrznych kojcach przy temperaturach sięgających minus piętnastu stopni. To jednak są wyłączenia doraźne próby ratowania najbardziej zagrożonych zwierząt, a nie realna poprawa warunków. Boksy są niewielkie, więc w każdym może przebywać tylko jeden pies. To za mało, bo obecnie pod opieką mamy ich kilkadziesiąt - podkreśla pracownik schroniska.

Co dalej z apelem mieszkańców?

Petycja wywołała duże poruszenie. Pod dokumentem podpisało się już ponad trzy tysiące osób. Teraz pojawia się zasadnicze pytanie: co dalej? Czy gorzowscy radni planują podjąć konkretne działania i czy budowa ogrzewanego budynku dla zwierząt stanie się realnym priorytetem?

- Planujemy jeszcze w styczniu spotkanie z osobami zarządzającymi schroniskiem, aby

na miejscu omówić ich realne problemy i potrzeby. To właśnie dlatego wcześniej podejmowaliśmy decyzje o modernizacji schroniska, która już jest realizowana etapami. Jednym z jej elementów jest budowa nowego budynku socjalnego. Jeśli jednak życie pokazuje, że pojawiają się kolejne, pilne potrzeby, przygotowany plan należy zmienić i zweryfikować. I o tym chcemy rozmawiać - mówi Ireneusz Maciej Zmora, przewodniczący klubu radnych Koalicji Obywatelskiej.

Jak podkreśla, jeśli wnioski ze spotkań i rozmów potwierdzą konieczność dalszych inwestycji, radni są gotowi podjąć konkretne działania.

- Jeżeli uznamy, że budowa ogrzewanego budynku dla psów jest niezbędna, będziemy pracować nad tym, aby takie zadanie znalazło się w budżecie miasta. Możemy wnioskować do prezydenta i doprowadzić do przegłosowania odpowiednich środków, ale trzeba pamiętać, że ostateczna decyzja zawsze należy do prezydenta - zaznacza radny.

Radni zapowiadają dalsze rozmowy

Głos w sprawie warunków panujących w schronisku zabrał także przewodniczący lokalnego klubu Prawa i Sprawiedliwości. Jak podkreśla, temat wzbudza duże zainteresowanie i nie może zostać zbagatelizowany, zwłaszcza że stoi za nim wyraźny głos mieszkańców. Jego zdaniem kwestia zapewnienia zwierzętom godnych warunków bytowych jest wspólną

odpowiedzialnością samorządu i powinna stać się przedmiotem poważnej dyskusji.

- Jesteśmy za tym, aby schronisko zapewniało zwierzętom godne warunki. Każdy widzi, jak to dziś wygląda. Mimo że sytuacja stopniowo się poprawia, wciąż mogłoby być znacznie lepiej. Na pewno poruszymy ten temat w klubie, bo nie wyobrażam sobie, aby zignorować głos mieszkańców. To nie jest jeszcze koniec mrozów tej zimy, a nie wiemy, jaka będzie kolejna - podkreśla Tomasz Rafalski.

Nie wszystko da się zrobić od razu

O stanowisko w tej sprawie zapytaliśmy również magistrat. Rzecznik urzędu podkreśla, że na ten moment miasto formalnie nie otrzymało jeszcze dokumentu.

- Czekamy na to, aby petycja do nas wpłynęła. Dopiero wtedy będziemy w stanie ocenić ją zarówno przez pryzmat oczekiwań zawartych w dokumencie, jak i uwarunkowań związanych z trwającą przebudową schroniska. Na dziś możemy powiedzieć jedynie, że będziemy się z nią zapoznawać i ją analizować. Z całą pewnością w tej sprawie odbędzie się szersza dyskusja, prawdopodobnie także podczas sesji rady miasta, gdzie przedstawimy nasze argumenty i opinie - zapowiada Wiesław Ciepiela.

Jak dodaje, proces modernizacji schroniska został zaplanowany już wcześniej i jest realizowany etapami.

- Decyzja o przebudowie schroniska zapadła jakiś czas temu i ten proces już się rozpoczął. Powstaje nowy budynek socjalny, a do końca roku w ramach inwestycji ma powstać także murowany i ocieplany boks dla zwierząt po zabiegach. Te plany w pewnym zakresie wpisują się w postulaty, które mieszkańcy zawarli w petycji - podkreśla.

Mieszkańcy jasno dali do zrozumienia, że oczekują konkretnych decyzji, a nie kolejnych doraźnych rozwiązań. Czy presja społeczna przełoży się na realne zmiany i inwestycje, które zapewnią zwierzętom godne warunki?

nasz REGION

KRÓTKO

NOWA SÓL

Pijany kierowca rozbił samochód z dwójką dzieci

Do groźnego zdarzenia doszło w niedzielę, 11 stycznia, na trasie Nowa Sól-Bytom Od-rzański. 33-letni mieszkaniec Nowej Soli, przewożąc dwójkę dzieci, stracił panowanie nad peugeotem i doprowadził do wypadku. Jak ustalili policjanci z grupy SPEED, mężczyzna był nietrzeźwy - miał prawie promil alkoholu w organizmie.

Po sprawdzeniu kierującego w systemach policyjnych okazało się, że mężczyzna posiada aktywny zakaz kierowania pojazdami i jest poszukiwany.

- Za kierowanie samochodem w stanie nietrzeźwości

grozi mu kara do trzech lat pozbawienia wolności, wysoka grzywna na rzecz Funduszu Pomocy Osobom Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej i dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów - wylicza asp. Sęczkowska-Sobol.

- 33-latek odpowie również za kierowanie pojazdem na zakazie, spowodowanie kolizji i popełnione wykroczenia. Niewykluczone, że usłyszy również zarzut narażenia życia lub zdrowia dzieci, gdyż swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem mógł doprowadzić do tragedii na drodze. B



FOT. LUBUSKA POLICJA

SZPROTAWA

Ostatnia szansa na nowe mieszkanie. Nie przegap okazji

Dziś upływa termin składania wniosków o mieszkania w dawnym biurowcu Dolnośląskich Zakładów Odlewniczych. W budynku powstało 40 nowych lokali.

Złożone wnioski oceni komisja. Najemcy będą zobowiązani do wniesienia party-cypacji w wysokości 600 zł za każdy metr kwadratowy mieszkania. To zwrotna, oprocentowana kaucja. Lo-

kale mają powierzchnię od 23 do 60 m.

- W połowie 2026 roku planujemy przekazać pierwsze klucze - zapowiada Mirosław Gąsik, burmistrz Szprotawy.

Mieszkania powstały w biurowcu DZO, który miasto przejęło w 2019 roku. Dolnośląskie Zakłady Odlewnicze przez dziesięciolecia były jednym z najważniejszych zakładów przemysłowych w regionie. MT

SANTOK Mimo reanimacji potracona kobieta zmarła

Wczoraj przed godz. 11:00 na ul. Gorzowskiej doszło do tragicznego wypadku. Kobieta została potracona przez kierowcę samochodu osobowego. Na miejsce na-

tychmiast wezwano służby ratunkowe i zaalarmowano straż pożarną. Łądowni śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. Ofiara wypadku była nieprzytomna, ratownicy przez kilkadziesiąt minut prowadzili reanimację. Niestety kobie-

ty nie udało uratować.

- Na miejscu pracują policjanci pod nadzorem prokuratora. Będą rozmawiać ze świadkami zdarzenia, ewentualnie zabezpieczą monitoringi - powiedział nadkom. Jaroszewicz z Komendy Miejskiej Policji w Gorzowie. B



FOT. DARIUSZ GDESZ

Kino szuka nowego właściciela. Ile trzeba mieć milionów?

Leszek Kalinowski,
Eliza Gniwew-Juszczak
Zielona Góra

W serwisie otodom.pl ukazała się oferta sprzedaży za-bytkowego i kultowego kina Nysa. Pół roku wcześniej z inicjatywy miejskich władz odbyło się spotkanie w sprawie możliwych scenariuszy przyszłości tego miejsca.

- Chcesz podarować temu pięknemu, modernistycznemu budynkowi drugie życie? - zaczyna się pytaniem opis ogłoszenia firmy Terra Nieruchomości, która jako jedyne biuro pośrednictwa zajmuje się sprzedażą miejsca.

- Jego pierwsze życie rozpoczęło się ponad 100 lat temu w 1921 roku. Wtedy to w ówczesnym Grünbergu, przy ulicy Bahnhofstraße, pojawiło się Kammer-Lichtspiele, po II wojnie przemianowane na Kino Nysa. Kino nieprzerwanie funkcjonowało do roku 2015. Obecnie, nieruchomość jest w rękach prywatnej spółki a my poszukujemy dla niej nowego właściciela z wizją i finansami, które umożliwią ożywienie tego pięknego obiektu - liczą przedstawiciele biura.

W ogłoszeniu poinformowano też, że zapisy w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego umożliwiają tutaj realizację „usług z zakresu: kultury, sztuki, rozrywki, administracji, nauki, oświaty, kształcenia, gastronomii”.

- Jak widać zapisy w planie umożliwiają wprowadzenie funkcji gastronomicznej co w połączeniu z usługami z zakresu kultury, sztuki i rozrywki, umożliwią przyszłemu inwestorowi jednocześnie z ożywieniem tego niezwykłego obiektu, prowadzenie tam opłacalnej działalności - przekonują przedstawiciele biura.

Za ile można kupić kino Nysa?

Oferta sprzedaży jest dostępna w serwisie otodom.pl. Proponowana cena to 2,5 mln zł. Powierzchnia obiektu wynosi 640 m. Czy miasto Zielona



FOT. JACEK KATOS

Kino nieprzerwanie funkcjonowało do roku 2015

Góra lub Zarząd Województwa Lubuskiego będą zainteresowane zakupem, a jeśli tak, jaką działalność chciałaby prowadzić w tym miejscu? Pytania o to skierowaliśmy do biur prasowych obu instytucji.

Wycieczka po kinie z czerwca 2025 roku

Przypomnijmy, w październiku 2015 roku właścicielem kina Nysa stała się firma Ad Investment Dariusza Łodygi. Do przetargu, który ogłosiła Państwowa Instytucja Filmowa „Odra-Film” z siedzibą we Wrocławiu, nikt więcej nie

stanął. Budynek sprzedano za 1,2 mln zł. Niestety, wąska scena powstrzymywała realizację pomysłów nowego właściciela. Inwestycji nie sprzyjała pandemia koronawirusa i brak możliwości pozyskania przez prywatnego właściciela unijnych funduszy na modernizację.

Latem 2025 roku prezydent Zielonej Góry Marcin Pabierowski zaprosił Dariusza Łodygę na rozmowę o przyszłości obiektu.

- Podczas rozmowy z prezydentem zaproponowałem odkupienie dawnego kina. To

około 820 metrów kwadratowych powierzchni użytkowej plus działka z tyłu budynku - mówił wówczas Dariusz Łodyga i dodawał, że miastu będzie łatwiej zrealizować cele, choćby przez to, że łatwiej zdobędzie dofinansowane z zewnętrznych, unijnych funduszy.

W kinie z inicjatywy miasta odbyło się spotkanie o przyszłości tego miejsca z udziałem przedstawicieli instytucji, stowarzyszeń, organizacji, którym bliskie są sprawy kultury. Wiceprezydent Marek Kamiński sugerował, że miasto jest zainteresowane zakupem.

Ruch Miejski proponował w Nysie edukację i rozrywkę poprzez sztukę filmową: pokazy filmów, Dyskusyjny Klub Filmowy, kinoterapię, spotkania z twórcami, edukację filmową dla szkół podstawowych i ponadpodstawowych (Filmoteka Szkolna) oraz włączenie Nysy do sieci kin studyjnych. Wówczas głos zabrał Robert Czechowski, dyrektor Lubuskiego Teatru i zwrócił uwagę, że niedaleko jest kino Nawa, więc nie ma sensu dublowania działalności. Chętnie widział w tym miejscu Miejski Teatr Rozrywki Variete.



FOT. JACEK KATOS

Kto jeszcze pamięta te fotele i trzask, kiedy się składały?

Miasto pod pełną kontrolą „wielkiego brata”. Nowoczesny system kamer za 4 mln zł

Jakub Pikulik
Kostrzyn nad Odrą

Teraz jest ich kilka i częściej są popsute, niż działają. Docelowo być 200 nowoczesnych kamer monitoringu. Część z nich będzie w stanie rozpoznawać numery rejestracyjne pojazdów.

O rozbudowie miejskiej sieci monitoringu mówi się od lat. Tak naprawdę chodzi o budowę monitoringu wizyjnego od podstaw, bo kamery, które działają w mieście obecnie, są przestarzałe i często się psują. W nieoficjalnych rozmowach kostrzyńscy policjanci przyznają, że często muszą korzystać z nagrań z prywatnych posesji, aby ustalić np. sprawców przestępstw, czy wykroczeń. Wiele zastrzeżeń mają też sami mieszkańcy.

- Wszyscy wiedzą, że w Kostrzynie w zasadzie nie ma kamer i można robić co się chce. Wandale niszczą ławki, kosze na śmieci wyrzucane są na środek jezdnii, często są zniszczenia na nowiułtym placu zabaw

przy amfiteatrze. Zdarza się, że po sobotniej nocy centrum miasta wygląda jak pobojowisko - mówi pan Kazimierz, mieszkaniec os. Mieszka I.

Takich głosów jest więcej. Kostrzynianie zwracają uwagę na burdy na targowisku miejskim, spożywanie alkoholu w miejscach publicznych (m. in. koło dworca PKP, w parku miejskim, na skwerze przy ul. Kopernika).

Są pieniądze w budżecie

W tegorocznym budżecie na rozbudowę monitoringu miejskiego przeznaczono 2,5 mln zł. Docelowo system ma kosztować około 4mln zł. Inwestycję poprzedziły konsultacje z policją, strażą miejską, strażą graniczną i mieszkańcami. Przetarg na rozbudowę monitoringu ma być ogłoszony w drugim kwartale tego roku, najpewniej w kwietniu lub w maju.

W ramach planowanego monitoringu będzie zamontowanych ponad 200 nowych kamer, w tym kamery typu LPR



Jednym z newarlgicznych miejsc, które objęte zostanie monitoringiem, jest centrum miasta i rejon dworca kolejowego.

czyli kamery z rozpoznawaniem tablic rejestracyjnych (zamontowane w sposób gwarantujący odczytanie i przesłanie do bazy danych informacji o tablicach rejestracyjnych wszystkich przejeżdżających pojazdów). Kamery typu LPR będą zamontowane na wszystkich wjazdach i wyjazdach z Kostrzyna nad Odrą. Do tego zamontowanych w mieście będą

20 głośników przez które w razie potrzeby będą nadawane komunikaty np. w sytuacji zagrożenia powodzią itp. - mówi Gazecie Lubuskiej Anna Rimke, rzecznik prasowy kostrzyńskiego magistratu.

Powstanie Centrum Monitoringu

System będzie rozbudowywany stopniowo. Początkowo

zamontowanych zostanie kilkadziesiąt kamer, kolejne będą podłączane sukcesywnie i potrwa to około dwóch lat. W tym czasie straż pożarna powinna się już przeprowadzić do nowej siedziby przy ul. Pralników, a w budynkach zajmowanych obecnie przez strażaków przy ul. Gorzowskiej miasto zorganizuje Centrum Monitoringu. Wgląd bezpośrednio w monitoring będzie miała Straż Miejska. Serwery mają być wyposażone w pamięć masową, pozwalającą na przechowywanie archiwum przez 30 dni.

Straż miejska i policja już czekają

- Monitoring w mieście bez wątplenia jest potrzebny. Będzie przydatny chociażby w przypadku ustalenia sprawców dewastacji, kradzieży, czy innych tego typu zdarzeń. Poza tym sama obecność kamer będzie działała prewencyjnie. To wszystko będzie miało pozytywny wpływ na poprawę bezpieczeństwa mieszkańców. Potrzeba będzie odpowiednio

przeszkolona osoba z właściwymi predyspozycjami, aby ten monitoring obsługiwać. Śledzenie kilkudziesięciu kamer jednocześnie nie jest łatwe - tłumaczy Wiesław Płończak, komendant kostrzyńskiej straży miejskiej.

Na nowe kamery czeka również policja. - Podczas konsultacji wskazaliśmy miejsca, które naszym zdaniem powinny być objęte monitoringiem. Doświadczenia z Gorzowa Wlkp. pokazują, że system monitoringu przydaje się w sprawach kryminalnych, podczas poszukiwań, przy ustalaniu sprawców drobnych i poważniejszych przestępstw, podczas ustalania przebiegu wypadków i kolizji. To często istotny materiał dowodowy. To tak zwane „dodatkowe oczy”, które obserwują miasto - tłumaczy nadkomisarz Grzegorz Jaroszewicz, rzecznik prasowy Komendy Miejskiej Policji w Gorzowie.

Lokalizacje, w których planowane są kamery znajdziesz na www.gazetalubuska.pl

REKLAMA

0011462014

BIUROWIEC „ZASTAL” NA SPRZEDAŻ

Zarządca masy sanacyjnej ASAS sp. z o.o.
ogłasza przetarg pisemny z ustną licytacją, którego przedmiotem jest
biurowiec „ZASTAL” w Zielonej Górze, składający się z:

1. nieruchomość lokalowa położona przy ul. Sulechowskiej 4A/1 w Zielonej Górze, gmina - Zielona Góra, powiat - Zielona Góra, województwo Lubuskie, dla której Sąd Rejonowy w Zielonej Górze, VI Wydział Ksiąg Wieczystych, prowadzi księgę wieczystą o nr ZG1E/00110312/0,
 2. nieruchomość lokalowa położona przy ul. Sulechowskiej 4A/2 w Zielonej Górze, gmina - Zielona Góra, powiat - Zielona Góra, województwo Lubuskie, dla której Sąd Rejonowy w Zielonej Górze, VI Wydział Ksiąg Wieczystych, prowadzi księgę wieczystą o nr ZG1E/00110314/4,
- z własnością których związane są udziały wynoszące po 390/780 części, którą to nieruchomość wspólna stanowi grunt oraz części budynku i urządzenia, które nie służą wyłącznie do użytku właścicieli lokali, objętą KW nr ZG1E/00070413/5. Nieruchomość wspólna stanowi działki ewidencyjne nr 120/59 oraz 120/60, o łącznej powierzchni wynoszącej 0,3075 ha oraz części wspólne posadowionego na niej budynku biurowego, o 9 kondygnacjach, położony pod adresem Sulechowska 4A w Zielonej Górze.

Lokale tworzą dziewięć i częściowo dziesięciokondygnacyjny budynek o powierzchni użytkowej 3528,90 m². Przeciętna powierzchnia kondygnacji ok. 350 m² (po obrysie). Obiekt posiada pełne podpiwniczenie, osiem kondygnacji nadziemnych oraz dach z infrastrukturą techniczną.

CENA WYWOŁAWCZA (minimalna): 6.500.000,00 zł netto

WADIUM: 650.000,00 zł

TERMIN SKŁADANIA OFERT: 9 marca 2026 r., godz. 16:00

TERMIN WPLATY WADIUM: 9 marca 2026 r. (liczy się faktyczny termin uznania kwoty wadium na rachunku bankowym)

TERMIN I MIEJSCE OTWARCIA OFERT: 10 marca 2026 r., godz. 12:00, Kancelaria Notarialna Janusz Rudnicki, Robert Sielski Notariusze s.c., ul. Marszałkowska 55/73 lok. 33, 00-676 Warszawa.

Oferty należy składać na adres kancelarii notarialnej: Kancelaria Notarialna Janusz Rudnicki, Robert Sielski Notariusze s.c., ul. Marszałkowska 55/73 lok. 33, 00-676 Warszawa.

Warunkiem uczestnictwa jest wpłacenie wadium w wys. 650.000,00 zł. Wadium wnosi się przelewem na rachunek bankowy prowadzony dla ww. Kancelarii Notarialnej, przez bank Santander Bank Polska o numerze: 94 1090 1870 0000 0001 4646 4251, z dopiskiem: „WADIUM ASAS Sp. z o.o. (tu podać nazwę oferenta)”. Wpłata wadium musi zostać potwierdzona poprzez podpisanie PROTOKOŁU WPLATY KWOTY DO DEPOZYTU w ww. Kancelarii Notarialnej. Bezwrotny koszt sporządzenia protokołu wynosi 2100,00 zł brutto i pokrywany jest przez oferenta.

Oferta wraz z wymaganymi dokumentami powinna być umieszczona w zamkniętej w sposób uniemożliwiający zapoznanie się z jej treścią bez jej otwarcia kopercie, którą należy umieścić w drugiej, większej kopercie. Każda z tych kopert powinna być zaadresowana do ww. kancelarii notarialnej wraz z dopiskiem:

„NIE OTWIERAĆ – OFERTA PRZETARGOWA NA SPRZEDAŻ NIERUCHOMOŚCI ASAS”

OPERAT SZACUNKOWY, REGULAMIN PRZETARGU WRAZ Z WZOREM OFERTY udostępniany jest w dowolnej formie po uzgodnieniu z zarządcą pod nr telefonu: 536 514 052 lub adresem e-mail: weronika.kawa@hambura.pl.”

Gorzowianie lubią starsze panie

Jarosław Miłkowski
jmiłkowski@gazetalubuska.pl

W zeszłym roku w Urzędzie Stanu Cywilnego sporządzono 368 aktów małżeństw. Z danych wynika, że coraz rzadziej bierzemy ślub w kościele.

Ostatnie dwanaście miesięcy podsumował właśnie Urząd Stanu Cywilnego. A dane dotyczące małżeństw są bardzo ciekawe. Jak się przedstawiają?

W całym 2025 roku w gorzowskim USC sporządzono 368 aktów małżeństw. To o 5,7 proc. więcej niż było w 2024 roku, gdy było ich 348.

Trudno jednak mówić o tendencji wzrostowej lub spadkowej, bo w 2023 było 376 aktów małżeństwa, w 2022 sporządzono ich 268, a w 2021 było 407 takich dokumentów.

Małżeństw mogło być w zeszłym roku więcej, ale 48 par odwołało lub nie dotarło w wyznaczonym dniu na ceremonię zawarcia związku małżeńskiego.

Odważnie można jednak za to postawić tezę, że gorzowianie coraz mniej chętnie biorą ślub w Kościele. W zeszłym roku ślub konkordatowy wzięło bowiem tylko 80 par, czyli zaledwie 21,7 proc. wszystkich, którzy się pobierali.

Tendencja spadkowa jest wyraźna. W raporcie USC za 2024 rok była mowa o 91 ślubach kościelnych (wówczas to było 26,1 proc.). W 2023 konkordatowe były 93 śluby (czyli 24,7 proc. wszystkich). A jeszcze kilka lat wcześniej liczba kościelnych ślubów była znacznie większa. W 2022 było 108 ślubów konkordatowych. (40,3 proc.). W 2021 w obecności księdza ślubowało sobie 168 par (41,3 proc.). A w 2020, choć z racji pandemii w ogóle było mniej ślubów, bo tylko 293, to kościelny wzięło 141 par (48,1 proc.).

Ciekawe dane dotyczą także różnicy par między małżonkami. Przed wielu laty przyjęte było, że pan młody powinien być

starszy od panny młodej. A dziś? Kto by się takimi sprawami zajmował. Aż 38 proc. wszystkich ślubów zawartych było pomiędzy parami, w których kobieta starsza była od mężczyzny w przedziale od 5 do 15 lat. Śmiało można więc powiedzieć, że Gorzowianie lubią starsze od siebie panie. Ślubów, gdy pan młody był starszy o 10-15 lat było z kolei 4 proc.

Ze statystyk urzędu stanu cywilnego wynika też, że społeczeństwo staje się coraz bardziej multikulturowe. Oto bowiem w zeszłym roku 75 małżeństw (czyli 20,4 proc.) zostało zawartych z obcokrajowcami. Dla porównania: w 2024 takich małżeństw było 41, w 2023 - 38.



W zeszłym roku w Gorzowie ślub zawarło 368 par.

Kto dostał pieniądze na sport?

Jarosław Miłkowski
Gorzów

Na sport zawodowy, szkolenie młodzieży, utrzymanie bazy sportowej czy zawody międzynarodowe - gorzowski magistrat właśnie podzielił 9,450 mln zł.

Połowa stycznia to tradycyjny czas, gdy dowiadujemy się, ile miejskich pieniędzy idzie na sport. Magistrat rozstrzygnął właśnie cztery konkursy na miejskie dotacje: na sport zawodowy, na imprezy międzynarodowe, a także na szkolenie młodzieży i utrzymanie obiektów sportowych.

W poprzednich latach najczęściej emocji rozpałał pierwszy z nich. W tym roku tak jednak nie było. A stało się to choćby za sprawą tego, że Gorzów przeszedł już na dzielenie pieniędzy dwa razy w roku. Na przełomie grudnia i stycznia o pieniądze starają się kluby, które mają rozgrywki w systemie „wiosna-jesień”. Z kolei pod koniec wiosny odbywa się konkurs dla klubów rywalizujących w systemie „jesień-wiosna”.



FOT. LUKASZ KULCZYŃSKI

Miejskimi pieniędzmi wsparto m.in. Gorzów Jump Festival - imprezę lekkoatletyczną, która 31 stycznia odbędzie się w Arenie Gorzów

Na sport wyczynowy najczęściej dostała żużlowa Stal Gorzów. Miasto przeleje jej 2,2 mln zł, czyli tyle samo, co w zeszłym roku i o milion mniej niż klub wpisał we wniosku o dotację.

Stal wcale nie musi być klubem, który w perspektywie całego roku dostanie najwięcej. Występujący w Plus Lidze siat-

karze Cuprum Silonu Gorzów na sezon 2025/2026 dostali bowiem łącznie 2,4 mln zł (formalnie: 1,2 mln zł na drugie półrocze 2025 oraz 1,2 mln zł na pierwsze półrocze 2026). Nie jest wykluczone, że w przypadku utrzymania się w Plus Lidze, także i w sezonie 2026/2027 otrzymają więcej od Stali.

Drugim największym beneficjentem w tym konkursie jest AZS AWF. Dostał łącznie 670 tys. zł, ale złożył trzy wnioski. Sekcja wioślarska dostała 180 tys. zł, kajakarska 300 tys. zł, a lekkoatletyczna 190 tys. zł.

Łącznie w tym konkursie rozdysponowano 3,280 mln zł. Jak podzielono pozostałą część kwoty? Lekkoatletyczny ALKS

AJP - 190 tys. zł, kajakarska Admira - 100 tys. zł, kajakarski G'Power - 65 tys. zł, klub szachowy Stilon - 40 tys. zł, lekkoatletyczny Team Baryła - 15 tys. zł. Wsparcia nie dostały Kłodawka (zajmuje się tenisem stołowym) oraz Akademia Piłkarska Stal.

Magistrat podzielił też miejskie pieniądze na międzynarodowe imprezy sportowe. Najwięcej dostał lekkoatletyczny ALKS AJP. Na Gorzów Jump Festival (będzie już 31 stycznia w Arenie Gorzów) oraz Gorzów Meeting (będzie na przełomie wiosny i lata na stadionie przy ul. Krasieńskiego) złożył wniosek na 664 tys. zł. Miasto wsparło obie te imprezy kwotą 600 tys. zł. Oznacza to, że klub dostał 90 proc. tego, co chciał (najwięcej spośród wszystkich wnioskodawców). ALKS AKJ dostał tym samym 71 proc. z kwoty 840 tys. zł, którą podzielono.

Najwięcej pieniędzy poszło w konkursie dotyczącym sportu dzieci, młodzieży i sportowców z niepełnosprawnościami. O miejską dotację ubiegało się w nim 46 podmiotów. Jednemu z nich odmówiono

wsparcia, ale pozostałe dostały łącznie 4,335 mln zł. Kto dostał najwięcej? AZS AWF otrzyma 580 tys. zł, zrzeszający sportowców niepełnosprawnych Start 500 tys. zł, a koszykarski AZS AJP 350 tys. zł.

Prawie milion, bo 995 tys. zł, poszło też na wsparcie siedemnastu klubów w utrzymaniu obiektów sportowych, które użytkują. W tym konkursie najwięcej - 180 tys. zł - dostała Warta Gorzów na utrzymanie kompleksu boisk przy ul. Żwirowej. Gorzovia, której tenisiści stołowi grają w byłej łaźni miejskiej, dostała 150 tys. zł. Z kolei Admira na utrzymanie swojej bazy kajakarskiej przy Wale Okrężnym dostała 100 tys. zł.

Łącznie we wszystkich czterech konkursach podzielono 9,450 mln zł. Za pół roku urzędnicy podzielą kolejne miliony. Na początku ubiegłorocznego lata koszykarki AZS AJP, siatkarze, piłkarze ręczni Stali Gorzów czy futboliści Warty Gorzów dostali łącznie 2,755 mln zł. Jeśli drużyny pozostaną na dotychczasowych szczeblach rozgrywek, można spodziewać się zbliżonej kwoty.

MATERIAL INFORMACYJNY PBO SP. Z O.O

0011462284

Osiedle Śląskie w Zielonej Górze – komfort, przestrzeń i doskonała lokalizacja

Osiedle Śląskie to nowoczesna inwestycja mieszkaniowa realizowana przez PBO Sp. z o.o., skierowana do osób poszukujących wygodnej, funkcjonalnej i dobrze zaprojektowanej przestrzeni do życia. Budynki przy ul. Os. Śląskie 7H-7J oraz 7K-7L – oferują szeroki wybór mieszkań dopasowanych do potrzeb singli, par i rodzin.



Widok bloków na os. Śląskim

W ofercie znajdują się przestronne mieszkania 2-, 3- oraz 4-pokojowe o metrażach od 40 m² do 80,5 m². Przemyślane układy pomieszczeń zapewniają komfort codziennego użytkowania oraz swobodę aranżacji wnętrza. Do każdego mieszkania dostępna jest **gratis komórka lokatorska**, co znacząco podnosi funkcjonalność lokali. Dla zmotoryzowanych mieszkańców przewidziano **miejsca postojowe w hali garażowej**, gwarantujące wygodę i bezpieczeństwo. Istotnym atutem każdej z naszych inwestycji jest zasto-

sowanie **indywidualnej automatyki ciepłej** w postaci nowoczesnych stacji mieszkaniowych. System ten pozwala na oszczędne i efektywne zarządzanie energią cieplną, przekładając się na realne obniżenie kosztów eksploatacyjnych oraz równocześnie na większy komfort cieplny przez cały rok z możliwością uruchomienia ogrzewania w trakcie całego roku kalendarzowego. Osiedle Śląskie wyróżnia się także **doskonałą lokalizacją**. W bezpośrednim sąsiedztwie znajdują się markety, galerie handlowe, przychodnia

medyczna, zakład rehabilitacji, laboratorium medyczne, szkoła, przedszkole, kościół, stacje paliw oraz przychodnia weterynaryjna. Ta infrastruktura, pozwala załatwić codzienne sprawy bez konieczności długich dojazdów. Inwestycja jest świetnie skomunikowana z innymi częściami miasta, oferując szybki dostęp do Trasy Północnej oraz drogi ekspresowej S3. Osoby korzystające z komunikacji miejskiej docenią bliskość przystanków autobusowych. Dodatkowo atutem jest bliskie **sąsiedztwo lasu**, które stwarza idealne warunki

do odpoczynku, spacerów i aktywnego spędzania czasu z dala od miejskiego zgiełku. Zobacz nasze aktualne inwestycje, standard wykończenia oraz dostępne oferty na stronie: www.deweloper.pbozg.pl/inwestycje

PBO sp. z o.o. jako doświadczony o blisko 70-letnim doświadczeniu, ceniony deweloper, konsekwentnie realizuje inwestycje łączące wysoką jakość wykonania z funkcjonalnością i nowoczesnymi rozwiązaniami. Osiedle Śląskie to propozycja dla tych, którzy szukają nie tylko mieszkań, ale miejsca, w którym codzienne życie staje się wygodniejsze i spokojniejsze. Zapraszamy na naszą stronę FB, gdzie znajdziesz informację o aktualnych ofertach:

[facebook.com/PBOZielonaGora](https://www.facebook.com/PBOZielonaGora)



PBO Zielona Góra
Biuro sprzedaży:
☎ 691838932
☎ 68 454 70 53
✉ mieszkania@pbozg.pl

Mapka obrazująca umiejscowienie osiedla oraz najważniejsze udogodnienia wokół



Poznaj punkty odniesienia



FOT. ARCH. LUBUSKIEGO TEATRU

Wystawa obfituje w różnorodne formy przekazu

Jarosław Wnorowski
ZIELONA GÓRA

Do niedzieli (18.01) w Muzeum Ziemi Lubuskiej można obejrzeć wystawę prac Jerzego Hejnowicza pt. „Punkty odniesienia”.

Ekspozycja w artystycznej praktyce Jerzego Hejnowicza, jest kolejną dużą aranżacją przestrzeni, po wystawach: „Stan zawieszenia w samym środku niczego” (2021), „Miejsce w czasie” (2022) oraz „Cienka czerwona linia” (2022), w których każdy z zaprezentowanych w nich elementów tworzy - wraz z pozostałymi - wspólny (choć niekoniecznie styli-

stycznie jednorodny) „wizualny organizm”. Jak sam dodaje artysta: „Celem jest stymulacja widza do odkrywania jego własnej wrażliwości, budowania indywidualnych kodów znaczeniowych, odnajdywania autor-skich ścieżek interpretacyjnych. Punkty odniesienia są zatem multimedialną, wieloelementową instalacją, poświęconą fenomenowi i niepokojom współczesnego istnienia, jednak pozabawiona ich nazw. Można przyporządkować im własne”. Jerzy Hejnowicz to absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych (obecnie UAP) w Poznaniu na Wydziale Malarstwa Grafiki i Rzeźby. Wstęp płatny.

WYDARZY SIĘ

REGION

Co nas czeka już niedługo

18.01 - Koncert noworoczny Orkiestry Dętej Żarskiego Domu Kultury, Żary,

18.01 - Koncert noworoczny „Legends polskiego rocka”, Skwierzyński Ośrodek Kultury,

18.01 - Koncert gordonowski „Zima lubi dzieci”, Kostrzyńskie Centrum Kultury,

19.01 - Koncert „Wieczór pieśni i piosenek” studentów UZ, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra,

21.01 - Spotkanie - Studium wiedzy o sztuce i historii „Mozaika wizji. O plastyce użytkowej Haliny Maszkiewicz”, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra,

23.01 - Wernisaż wystawy Basi Bańdy „Gdzie jest słońce”, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra,

23.01 - Karnawałowa przywatka w RCAK, Zielona Góra,

23.01 - Wystawa „Shoty - 10. Dyplomy Instytutu Sztuk Wizualnych UZ”, BWA, Zielona Góra,

25.01 - 34. Finał WOŚP JERRY

SŁUBICE



FOT. JAKUB PIKLIK/GAZETA LUBUSKA

Jutro o godz. 19, w sali kinowej Słubickiego Miejskiego Ośrodka Kultury, w ramach akcji „Lubuskie Połączenia Muzyczne” wystąpi zespół „Tru-pięgi”. Tego samego dnia, ale o godz. 21 - w klubie „Provincia” swoje talenty zaprezentuje - Łukasz Łyczkowski (na zdjęciu) ze swoim zespołem. To najlepszy męski głos ósmej edycji „The Voice of Po-land”. Wstęp płatny. JERRY

Gdzie świętować Dzień Babci i Dziadka?

Jarosław Wnorowski
REGION

W styczniu przypadają jedne z najważniejszych wydarzeń w kalendarzu rocznym. Mowa oczywiście o święcie honorującym babcię i dziadków. Lubuskie placówki kultury przygotowały szereg atrakcji.

Dziś (16.01) w godz. 13-18, można udać się z wnukami na „Noc Biologów” do Centrum Przyrodniczego w Zielonej Górze. Wydarzenie odbywa się w ramach XV. Ogólnopolskiej Edycji Nocy Biologów, której celem popularyzacja nauk przyrodniczych. Tegoroczna edycja odbywa się pod hasłem „Biologia pełna sygnałów - odkryj, jak mówi życie”. Z tej okazji Centrum Przyrodnicze zaprasza na spotkanie, podczas którego nauka stanie się doświadczeniem angażującym zmysły, wyobraźnię i ciekawość świata wszystkich grup wiekowych na interaktywnych stanowiskach tematycznych. Dodatkowo przewidziano wernisaż wystawy fotografii przyrodniczej „Przyroda i makro” oraz prelekcję popularnonaukową w ramach cyklu „Zoom na naukę”. Wstęp bezpłatny. W sobotę (17.01) o godz. 18, w Gminnym Centrum Kultury w Kargowej wystąpi „Grupa na swoim”. Podczas koncertu zespół zabierze słuchaczy w muzyczną podróż poprzez bieszczadzkie potoniny i beskidzkie bezdroża. Zabrzmią utwory górskie, tury-



FOT. JAROSŁAW WNOROWSKI

Michał Rydz zagra w Zielonej Górze

styczne, w głównej mierze autorskie i pełne humoru. Wstęp wolny. W środę (21.01) o godz. 19 w Filharmonii Zielonogórskiej odbędzie się koncert specjalny dedykowany babciom i dziadkom. Wystąpi Dawid Rydz (akordeon), któremu towarzyszyć będzie Thalloris Quartet. W programie znajdują się słynne tanga, czardasze, walce i inne dzieła belle époque. Solista jest laureatem ponad czterdziestu festiwali i konkursów akordeonowych w kategoriach solowych i kameralnych w kraju i poza jego granicami. Za swoje osiągnięcia artystyczne otrzymywał nagrody władz wojewódzkich i ogólnopolskich. Także w środę, o godz. 16.30 Biblioteka Norwida w Zielonej Górze (Filia nr 2, os. Pomorskie 13-budynek szkoły) organizuje spotkanie „Z Babcią i Dziadkiem przez świat” czyli warsztaty ro-

dzinne, podczas których uczestnicy będą tworzyć mapę wymarzonej podróży. Udział bezpłatny. Muzeum Ziemi Lubuskiej 21 i 22 stycznia oferuje babciom i dziadkom oraz ich wnuczkom darmowy wstęp na ekspozycję szeptek w holu. W czwartek (22.01) Sulęciński Dom Kultury zaprasza na otwarte warsztaty ceramiczne dla dorosłych. Podczas zajęć będzie można wykonać ceramiczną paterę lub talerz techniką sgraffito, czyli rysunkiem wydrapywanym w angobie na surowej glinie. Udział płatny. Lubuski Teatr na kolejny weekend (23-25.01) o godz. 18 przygotował pełne humoru spektakle „Akompaniator”. Po każdym z nich zaplanowano spotkania z aktorami, podczas których będzie można zadać im pytania oraz zrobić pamiątkową fotografię. Wstęp płatny.

WYBIERZ SIĘ

NOWA SÓL

Kraina lodu w fotografii

Dziś (16.01) o godz. 17, w pawilonie przyrodniczym Muzeum Miejskiego, zostanie otwarta wystawa prac nowosolskiego fotografa i ornitologa - Przemysław Pulki pt. „W krainie świątła i bieli”. Ekspozycja jest fotograficznym zapisem wypraw autora do Islandii, Norwegii i Japonii w latach 2019-2025, których efektem są zdjęcia emanujące zimową aurą i północną dzikością. Autor ukazuje w fotograficznym zbliżeniu niesamowitość i unikalność białego, zimnego środowiska oraz trudy czy wysiłek podróży przez takie śnieżne przestrzenie. Zdjęcia są pełne dynamiki, światła oraz emocji i pokazują często wyjątkowe momenty uchwyczone po wielu godzinach czatowania i czekania na zimnym pustkowiu. Jak dodaje autor: „Typowe statyczne fotografie mogą wzbudzać w tych, które na nie patrzą poczucie ruchu i dźwięku: klągór żurawi, szum wiatru, pomrukiwanie jaka czy nart sunących po śniegu”. Wystawę będzie można oglądać do kwietnia br JERRY

NOWA SÓL/ZIELONA GÓRA

Jubileusz teatru



FOT. KAROL KOLEBA

Podczas weekendu (16-18.01) w sali teatralnej im. Ryszarda Cieślaka w Nowej Soli trwać będą obchody jubileuszu 50. lecia teatru „Terminus A'Quo”. Uświetnią go spektakle m.in. „Sceny simultaniczne”, „Tropor”, „Narzędzia tortur” czy „Sister Kate”. Zostaną także wręczone nagrody „Aktora Roku”, które powędrują do Michałiny Grzelki oraz Natanela Gramonta. Świętowanie w sobotę (17.01) przeniesie się także do Biblioteki Norwida w Zielonej Górze, gdzie od godz. 16 odbędą się m.in. wernisaż prac graficznych Leszka Freya-Witkowskiego, promocja książki „Gramont”. Dokładny program uroczystych obchodów zamieszczamy na str. 9. Wstęp wolny, „co łaska”. JERRY

GÓRZÓW

Artystyczna fuga

Dziś (16.01), o godz. 18, w Miejskim Ośrodku Sztuki, odbędzie się wernisaż wystawy Marka Glinkowskiego pt. „Fuga”. Przestrzeń galerii składająca się z pięciu pomieszczeń skłoniła artystę do zaprojektowania podróży poprzez różne wątki reprezentujące jego artystyczne zainteresowania w formie muzycznej nazwanej fugą. To kompozycja zbudowana z tematów, kontrapunktów i łączników. Fuga w innym znaczeniu, według autora, jest ponadto spójną łączącą wątki pojawiające się w odmiennych realizacjach, ale też przestrzenią pomiędzy niedopowiedzeniem, polem wolności dla odbiorców. Autor to artysta wizualny, pracujący w obszarach grafiki, filmu, obiektu i instalacji. Jest absolwentem ASP w Poznaniu. W 2012 r. obronił doktorat na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu. Brał udział w kilkudziesięciu wystawach indywidualnych i zbiorowych w Polsce i za granicą. Jego prace znajdują się w muzeach, galeriach i kolekcjach prywatnych. Wstęp wolny. JERRY

Czeskie klimaty w filharmonii i bajkowe południe

Jarosław Wnorowski
GORZÓW

Dziś (16.01) o godz. 19, wsali kameralnej Filharmonii Gorzowskiej zabrzmia m.in. muzyka skomponowana przez kompozytorów czeskich. Mało znana, (za) rzadko wykonywana i świetnie oddająca charakter naszych południowych sąsiadów, nieco spokojniejsze tempo życia i zamyślenie do przyrody.

„Pocztówka z Czech - Pohlednice z Česka”, to tytuł koncertu, którego wykonawcami będą muzycy Gorzów Wind Quintet tj. Ada Mazurek - flet, Alexander Pipkin - obój, Bartosz Baran - fagot, Maciej Dana - klarnet, Krzysztof Landowski - waltorna, a dodatkowo pojawią się Bernard Łasecki - fagot oraz Anastasiya Lukyanenko - fortepian. Kwintet od kilku lat występuje przed gorzowską (i nie tylko) publicznością w ramach rozmaitych inicjatyw i projektów kulturalnych, m.in. „Miejskiego Grania” czy „Dobry wieczór Gorzów”.

Wieczór otworzą „Kwintet Es-dur op. 88 nr 2” oraz „Dwa Andante i Adagio na rożek angielski i kwartet dęty” Anto-



FOT. ARCH. FILHARMONII GORZOWSKIEJ

Kwintet dęty wykona arcydzieła południowych sąsiadów

nina Rejchy. To urodzony w Pradze i żyjący na przełomie XVIII i XIX wieku, czeski kompozytor i teoretyk muzyki. W 1785 roku przeprowadził się do nadreńskiego Bonn. Tam został członkiem orkiestry nadwornej elektora Maksymiliana, a także poznał Ludwiga van Beethovena. Samodzielnie uczył się kompozycji. Po pobycie w Wiedniu, w 1808 roku wyjechał na stałe do Francji,

gdzie od 1818 roku uczył fugi i kontrapunktu w Konserwatorium Paryskim. Za jego zasługi, w 1829 roku przyznano mu francuskie obywatelstwo, a w 1831 roku został odznaczony Legią Honorową. Jako kompozytor był reprezentantem wczesnej fazy romantyzmu. Do jego uczniów należeli m.in. Hector Berlioz, César Franck, Charles Gounod czy Ferenc Liszt.

Jako kolejne dzieło wieczoru zabrzmia „Marsz Modraczków (Pochod Modráčků)” - Leoša Janáčka, napisany na flet piccolo i fortepian. Modraczek to gatunek małego ptaka z rodziny muchołówkowatych, dlatego muzycznie „reprezentować i naśladować” go będzie na scenie właśnie mały flet. Leoš Janáček to czeski kompozytor, który już od wczesnej młodości wykazy-

wał zdolności muzyczne. Jako kilkunastoletni chłopiec opłynał grę na organach i grywał na tym instrumencie w miejscowym kościele. Miał także liczne kontakty z muzyką ludową, której nasłuchiwał się głównie podczas wiejskich zabaw. Od 1880 r. uczył muzyki w Brnie, gdzie w 1881 r. założył szkołę organistów i został dyrygentem tamtejszej filharmonii, która do tej pory nosi jego imię. Jest autorem licznych oper, dzieł kameralnych oraz chóranych np. słynnej „Mszy gdańskiej”.

Na koniec zabrzmia „Sekstet na fortepian i instrumenty dęte H174” - Bohuslava Martinů. Kompozytor żyjący na przełomie XIX i XX wieku, był przede wszystkim twórcą muzyki poważnej reprezentując nurt neoklasycyzmu. Pracował ponadto jako wykładowca Uniwersytetu Princeton i Mannes School of Music w USA. Jego imię nosi filharmonia w Zlinie, mieście we wschodnich Morawach.

Uwag melomanów, nie powinien ujść koncert rodzinny w niedzielę 18 stycznia. W samo południe, Orkiestra Filharmonii Gorzowskiej wraz z solistami, pod batutą Ariela

Ludwiczaka, przypomni tematy z disneyowskiej krainy bajek. Zabrzmia m.in. „Wspaniały świat” (Aladyn), „Pół kroku stąd” (Vaiana), „Ty druha we mnie masz” (Toy Story), „Tej historii bieg” (Piękna i Bestia), „Mam tę moc” (Kraina lodu), „Na morza dnie” (Mała Syrenka) czy „Miłość rośnie w nas” z „Króla Lwa”. W następnym tygodniu (23.01) szykuje się również sporo atrakcji. W Gorzowie wysłuchamy m.in. klarnetu we fragmentach opery „Dama z jeziora” - Rossiniego czy Fantazji koncertowej na motywach z opery „Traviata” - G. Verdiego z orkiestrą. W Filharmonii Zielonogórskiej, tego dnia będzie natomiast mocno romantycznie. W dużej sali FZ zabrzmia m.in. słynny I Koncert fortepianowy b-moll op. 23 - Piotra Czajkowskiego w wykonaniu Aleksandry Świąg. Ten trudny technicznie, wyjątkowo melodyjny utwór jest zaliczany do kanonu najważniejszych dzieł muzycznych epoki romantyzmu.

Tego wieczoru wysłuchamy ponadto dość rzadko wykonywanego poematu symfonicznego „Don Juan” - Richarda Straussa. Wstępny płatne

REKLAMA

0011459723

WITNICA PARK

Twoje mieszkanie w Witnicy



- Gotowe do odbioru
- Świetna lokalizacja: między Gorzowem a Kostrzynem nad Odrą
- Już od **7400 brutto** za m²

**Uwaga
promocja:
Notariusz
w cenie**



PROBUD

Tel. 730 886 033

probud.biurogorzow@gmail.com

www.probud24.com



Edward Gramont podczas jednego ze spektakli Terminusa

CHCIELIŚMY INNEGO ŚWIATA

Teatr Terminus A Quo z Nowej Soli skończył 50 lat. Czas na uroczystości rocznicowe i premierę książki „Gramont”, wywiadu rzeki z twórcą TAQ Edwardem Gramontem, który przeprowadziła Mirosława Szott. Jest o życiu, teatrze i sztuce, która wykracza poza utarte schematy.

Mateusz Pojnar

Mateusz Pojnar: Chyba nie było łatwo 50 lat temu założyć teatr alternatywny? System nie lubił raczej ludzi, którzy się wyróżniali.

Edward Gramont: Przede wszystkim aparat komunistyczny nie rozumiał tego, co robimy, ale o tym przekonałem się później. Po prostu mieszkaliśmy w Polsce, chodziliśmy do szkoły, słuchaliśmy Niemena i jako młodzi ludzie chcieliśmy trochę innego świata. Nosiliśmy to w sercach. Uczyłem się w technikum elektrycznym, ale razem

z kolegami byliśmy humanistami. Interesowała nas muzyka, literatura, malarstwo, impresjoniści. Byłem tym oczarowany, bo w szkole tego nie mieliśmy. Jestem z prostej rodziny robotniczej, próbowałem dorównać. Gdybym był z inteligentkiej, artystycznej, to pewnie już wtedy miałbym to wszystko w głowie. Drogi miałem pod górkę. Trochę byłem Syzyfem.

Ale udało ci się wtoczyć kamień, bo Terminus A Quo ma od lat świetną markę.

Gramont: Czyli ten mit nie jest prawdziwy [uśmiech]. Dla mnie ta rocznica to kres, ale nie w sensie końca. Kres pewnej wędrówki, czyli moment, w którym mogę się odnieść do tego wszystkiego, co do tej pory się wydarzyło. Na początku było tak, że po prostu interesowałem się tekstami, które odkrywały we mnie nowe pokłady, czyli nie były klasyką. W Polsce wychodził miesięcznik „Nowy Wyraz”, literacki wentyl dla młodych. Ukazywały się teksty literatury

amerykańskiej, szwedzkiej, francuskiej. Dla nas to była Biblia. Mieliśmy kontakt z tym, co współczesne, ważne na świecie. Wchłaniałem to. Gdy spotkaliśmy się z grupą, którą namówiłem na teatr, nie wiedzieliśmy, co mamy robić. Przynieśli Gałczyńskiego, Tuwima, Poświatowską itd. Wskoczyłem na rower - miałem taki tandem na malutkich kołach - i pojechałem do domu, chwyciłem „Nowy Wyraz”, wróciłem i pokazałem wszystkim. Tak się zaczęło.

Od początku wybieraliśmy nie to, co aparatczycy słyszeli na akademiach.

Często rzucali kłody pod nogi?

Gramont: Wtedy jeszcze u nas nie bywali. Ale byliśmy aktywni i już w 1977 r. pojechaliśmy na festiwal do Wrocławia i pokazaliśmy tam „Skowyt” Ginsberga. Wszyscy mówili, że to był „wstrząsający materiał”. W 1979 zastopowali naszą działalność. Co chwilę przychodziłem do dyrektora domu kultury „Odra”, gdzie pracowałem. On nam sprzyjał, ale mówił, że „wszystko jest w trakcie wyjaśniania”. To było dziwne, że nikt nie potrafił postawić żadnego zarzutu: o kogo i o co chodzi. Namówili nas, żeby pokazać spektakl, w którym wypowiem się na temat tej sytuacji i naszej twórczości. Wybraliśmy „Szkolę czarownic”. Wydawało mi się, że jest najbardziej plastyczny, o ukrzyżowaniu Chrystusa, więc to łykną. Ale nie łyknęli. Wymyślili, że „pokazujemy drogę papieża do władzy”. Zatkano nas, bo to jakaś abstrakcja. W poniedziałek przyszedłem do pracy w domu kultury, ale mnie stamtąd zwolnili - przenieśli do działu elektrycznego. Teatr stracił siedzibę. Wziąłem urlop i jeździłem do różnych instytucji, żeby wyjaśnić sprawę. Wszyscy byli grzeczni, ale nikt nie powiedział, co dalej. Dostałem telefon z Lubuskiego Teatru. Dyrektor powiedział, że mnie zatrudni, że się nie boi. Dogadaliśmy się, ale ktoś widział, że żeby się z nim spotkać, wyszedłem z pracy i poinformował kierownika działu elektrycznego. Miał to sprawdzić. Jeśli to prawda, to dyscyplinarka. Po latach spotkaliśmy się i stwierdził, „że świnią nigdy nie był”, dlatego wówczas powiedział dyrektorowi, że zostałem wysłany do jakiejś nاپrawy.

Ale teatr trafił na emigrację.

Gramont: Przeniosłem go wtedy do Głogowa, a w Lubuskim Teatrze pracowałem trzy miesiące. Po raz pierwszy zobaczyłem różnicę między teatrem zawodowym i alternatywnym. Stwierdziłem, że rezygnuję. Całą zimę pracowałem jako drwal w lesie.

Terminus po perturbacjach wrócił jednak na szczęście do Nowej Soli, gdzie do dziś pisze historię. Przed nami premiera książki „Gramont”, w której jest dużo więcej barwnych opowieści. Pamiętajcie, ile godzin przegadaliście przed jej napisaniem?

Mirosława Szott: Mówiłam mężowi, że w ciągu ostatniego roku więcej czasu spędziłam

chyba w teatrze z Edwardem niż w domu [śmiech]. Gramont: Nawiązaliśmy niesamowity kontakt i dużo zyskałem, jeśli chodzi o świadomość tego, co robię.

Ta książka to pewnego rodzaju spowiedź czy Edward Gramont jak rasowy aktor zakłada maskę?

Szott: Myślę, że jakieś tajemnice na pewno zostawił dla siebie. Też nie chciałabym go z nich całkowicie ogołocić. Edward podszedł do tych rozmów szczerze, jednocześnie nie chcąc nikogo skrzywdzić, bo opowiadając te historie, dotykasz również innych ludzi. Nie da się tego wszystkiego rozplątać, więc trzeba było znaleźć złoty środek: żeby nikogo nie raniło, ale było jednocześnie szczere. Balansowaliśmy na granicy, a to jest trudne. Wcześniej było kilka osób, które chciało zrobić tę książkę, ale ostatecznie trafiło na mnie. Przez lata ci ludzie współpracowali z Edwardem, a ja byłam z zewnątrz i dlatego może miałam łatwiej, bo patrzyłam na to z większego dystansu, bez aż tak emocjonalnego zaangażowania. Gramont: Gdy na koniec usłyszałem, że to się ma nazywać „Gramont”, to mówię „co ty, oszalałaś?”. Ale przez pryzmat człowieka pokazana jest historia teatru. Mirka na początku miała do naszej twórczości sceptyczny stosunek, o czym pisze we wstępie. Zachwyciliśmy siebie nawzajem szczerością, dlatego tak dobrze nam się rozmawiało.

Czemu wybraliście akurat formę wywiadu rzeki?

Szott: Można by było pewnie to zrobić bardziej obiektywnie, ale nie chodziło mi, żeby ta historia była do bólu obiektywna, przezroczysta i sterylna, tylko właśnie emocjonalna. Żeby pokazywała teatr z perspektywy Edwarda. Spotykaliśmy się w siedzibie TAQ, jeździliśmy i rozmawialiśmy, a oprócz tego ze sobą pisaaliśmy. Spodobał mi się jego język, ma walor literacki. To nie jest do końca wywiad, w którym chodzi tylko o ustalenie faktów, kalendrium. Gramont: Czaśsem, gdy dostawałem pytania, mówiłem „nie, nie odpowiem jej na to! Jak może ze mnie to wyciągać?”. Ale szedłem spać, budziłem się o 5.00 i stwierdzałem „wiem, odpowiem tak”.

Opowiedzieć 50 lat w książce to jest nie lada wyzwanie.

Szott: Zdecydowanie, ale lubię wyzwania. Miałam mnóstwo materiałów, kronik, wycinki prasowe. Starałam się to wszystko przeczytać i wczuć w atmosferę tamtych lat. Niektóre oceny były krytyczne, inne pozytywne, jeszcze inne



W spektaklach nowosolskiego teatru łącznie wystąpiło ponad 700 aktorów

przezabawne. Widziałam, jak to się zmieniało w czasie. Pracy było dużo, ale ona wciąż gała. Gramont: Podchodziła do tego bardzo precyzyjnie. Szott: Ważne było to, że nigdy nie odmawiał pomocy, żebym przyjechała do teatru i pracowała nad książką. Nie prowadziliśmy tych rozmów linearnie, tylko wracaliśmy do różnych tematów. Ten sposób pracy bardzo mi odpowiadał.

Gramont: Podobnie pracuję ze spektaklami, nie zamykam ich. Gdy pojawia się nowy pomysł dotyczący jakiejś sceny, to mimo że graliśmy to kilka lat, dodajemy coś innego.

W efekcie to jest książka przede wszystkim o twórcy teatru czy o samym teatrze?

Szott: Tego się nie da rozłaczyć, ale dla mnie bardziej o Edwardzie Gramontcie. Gramont: Myślę, że bardziej o teatrze, ale z mojej perspektywy.

W ciągu tych 50 lat miałeś momenty zwątpienia, w których mówiłeś sobie: dobra, kończę z tym?

Gramont: Rzuciłem szklanymi o ścianę itd., bo ludzie źle reagowali, nie czuli tego wszystkiego, a mi bardzo na tym zależało. Przekonywanie osób, które nie interesują się teatrem, sztuką, jest karkołomnym zajęciem. Nie życzę nikomu. Większość instruktorów robi to w sposób pedagogiczny i gdy osiągają cel, to młodzież ma zajęcie, ale czy powiększa się jej świadomość? Zależało

mi zawsze na wyrazie artystycznym. Ożywiałyśmy teksty – prozę, poezję – które były pisane w innym celu. One same w sobie tworzą sztukę, a wizja, która się miała pojawić, poszerzała tę propozycję. Ucieszyłem się, że Mirka mi to naświetliła.

Czyli podczas tych rozmów dowiedzieliście się o sobie

czegoś, czego wcześniej nie wiedzieliście?

Gramont: Dużo – i to oboje. Ta książka nas zmusiła do pewnych przemyśleń. To nam dobrze zrobiło. Szott: Mnie bardzo zmieniły te rozmowy. Dużo swoich spraw przemyślałam. Moja babcia, tak jak Edward, przyjechała tu z Kresów i ten wschodni powiew mamy w sobie. Poczulałam, że ciągnie mnie tam,

chciałabym kiedyś odwiedzić tamte strony. A z namacalnych zmian życiowych pojawiła się taka, że zmieniam pracę. Uświadomiłam sobie, w którym kierunku chcę teraz iść i że pewien etap trzeba zamknąć.

A czego przede wszystkim chciałaś się dowiedzieć o bohaterze książki przed rozpoczęciem rozmów?

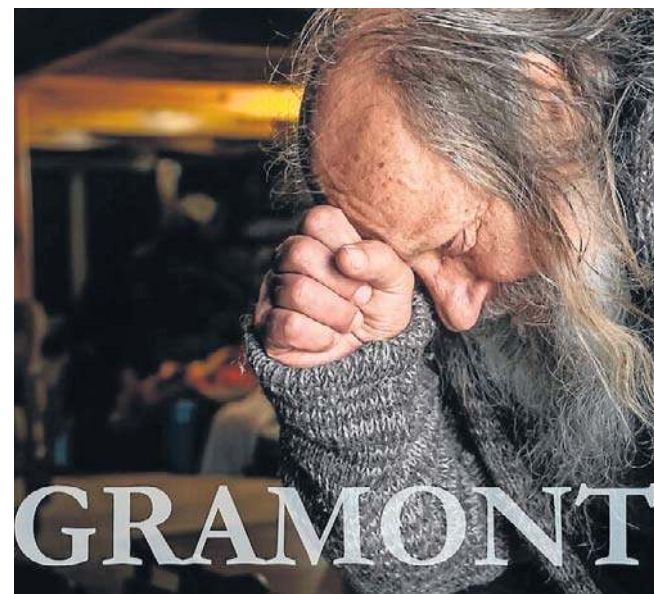
Szott: W 2016 r., gdy miałam pierwszy kontakt z tą twórczością, TAQ wyciągnął mnie ze strefy komfortu, takiego myślenia, że idę do teatru, by zobaczyć coś ładnego, dobrze się poczuć, a potem pomyśleć. Poszłam na spektakl „Spokojnie” i po nim nic nie mogłam sobie ułożyć w głowie. „Co mam z tym zrobić?” – myślałam. To była taka frustracja, bo nie wiedziałam, czy tak można. Zaczęłam się tym interesować i chodziłam na kolejne spektakle. Edward mnie intrygował, ale na początku rozmów do książki nie wiedziałam, jak to będzie wyglądać. Wysłałam trzy pierwsze banalne pytania, bo od czegoś trzeba zacząć.

O co pytałaś?

Szott: Jedno z nich dotyczyło tego, kiedy po raz pierwszy w życiu zobaczył jakiś spektakl. Odpisał mi nie jakoś wyidealnie, ale intrygująco. Później samo zaczęło się tkąć. Naturalnie, bez jakiegos przymusu na zasadzie, że musimy napisać tyle i tyle znaków. Dopytywałam dalej o szczegóły.



Terminus zagrał do tej pory łącznie przeszło 4400 przedstawień



Okladka książki „Gramont” autorstwa Mirosławy Szott

Mam wrażenie, że Terminus od lat chce w Nowej Soli budować lokalną tożsamość. Jesteś lokalnym patriotą?

Gramont: Na pewno. A co robię cały czas? Starałem się wzbogacać myśli i wyobraźnię ludzi, którzy tu mieszkają. Dla mnie patriotyzm to było to, a nie stanie na akademiach i klepanie wierszyków, podczas których wszyscy czekali, aż to się już skończy.

Patriotyzm to zakorzenienie się. Jeśli będzie zakorzeniona kultura, to ona już pozostanie. Szott: Też pytałam Edwarda o patriotyzm, o prawicowość, lewicowość, anarchizm. Podobno mi się to, że on jest ponad tym, bo gdybyśmy poszli w podziały i politykę, od której na co dzień chcę się całkowicie odciąć, to byśmy ugrzęźli.

W teatrze grają m.in. twoi synowie. Są na tyle zaangażowani, że przyszłość TAQ jest bezpieczna?

Gramont: Myślę, że będą to robić nadal. Mają to coś, dostarczają nowe pomysły.

Czyli masz przekonanie, że będą kontynuowali to dzieło?

Gramont: Mogę mówić tylko za siebie, a jak się ułoży dalej? Gdy ludzie mają do tego serce, wtedy to jest żywe. To najważniejsze. We mnie po książce dokonał się przełom. Mam coraz więcej dystansu i bardzo się cieszę, gdy moi chłopcy wchodzą za mnie i robią różne rzeczy. Pytasz, czy będzie kontynuacja. Ona już jest. Myślę, że nie poróżni ich to, kto ma rządzić. Są ze sobą bardzo życzliwi i tak powinno zostać.

PROGRAM 50-LECIA TERMINUSA

Terminus A Quo w liczbach to ponad 700 aktorów, przeszło 4400 przedstawień (w tym więcej niż 300 premier) granych w 272 miejscowościach. Jest co podsumować. Oto program obchodów rocznicowych.

Piątek 16 stycznia

Sala Teatralna im. Ryszarda Cieślaka w Nowej Soli, ul. Kościuszki 33:

- godz. 19.00 – spektakl „Sceny symultaniczne”, - wręczenie nagrody Aktorki Roku 2025 Michalinie Grzelce – 21.00,
- spektakl „Torpor”, - wręczenie nagrody Aktora Roku 2025 Natanaelowi Gramontowi.

Sobota 17 stycznia

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Norwida w Zielonej Górze:

- godz. 16.00 – wernisaż prac Leszka Freya-Witkowskiego, otwarcie wystawy z udziałem artysty i gości,
- godz. 16.15 – Sala im. Janusza Koniusza – spotkanie autorskie z Edwardem Gramontem i Mirosławą Szott oraz promocja książki „Gramont” (Wydawnictwo Pro Libris Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Norwida oraz Nowosolskie Alternatywne Stowarzyszenie Artystów),
- godz. 17.15 – Sala im. Janusza Koniusza – spektakl „Anna Livia, Gotha Potwór”,
- Sala Teatralna im. Ryszarda Cieślaka w Nowej Soli – godz. 22.00 – spektakl „Narzędzia tortur”.

Niedziela 18 stycznia

Sala Teatralna im. Ryszarda Cieślaka w Nowej Soli:

- godz. 16.00 – spektakl „Sister Kate”,
- godz. 17.30 – wręczenie Złotych PTAQów za 2025 r.,
- 19.00 – spektakl „Wariat i zakonnica”. Wstęp na wydarzenia jest bezpłatny.

ZIELONOGÓRZANIE W NAKRĘCONEJ SPIRALI DŁUGÓW

- Człowiek nie wie, na czym stoi. Spłacam cały czas, a nic nie ubywa - mówi zielonogórzanka. Odwiedziliśmy mieszkańców, którzy ze względu na swoją tragiczną sytuację, powinni niewiele płacić za czynsz, ale płacili dziewięć razy więcej. Nie było ich na to stać, więc się zadłużali coraz bardziej. Co się zmieniło, kiedy afera wyszła na jaw?

Eliza Gniewek-Juszczak

O sprawie zawyżonych czynszów dla lokatorów mieszkających w zasobach Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej w Zielonej Górze, pisaliśmy wielokrotnie w ubiegłym roku. To, że od 2019 roku, momentu zmiany ustawy, nawet około 150 najemcom nieprawidłowo naliczano stawki, wykrył nowo zatrudniony pracownik. Przypomnijmy, zgodnie z ustawą o ochronie sygnalistów, jest to osoba, która zgłasza lub ujawnia publicznie informacje o naruszeniu prawa, uzyskane podczas świadczenia pracy. Z tego powodu nie może stracić pracy. Niestety, pracownika ZGM nie potraktowano jako sygnalistę i nie przedłużono umowy o pracę. Sprawdzamy, czy mieszkańcy dostali zwrot pieniędzy, lub informacje o zmniejszeniu zadłużenia.

Żadna z kobiet nie chce pokazać twarzy

Z paniami A, B, C i D spotykamy się w kamienicach, w których są mieszkania zajmowane przez jednych z najbardziej potrzebujących mieszkańców Zielonej Góry. To same kobiety, mają mężów, partnerów, ale to one trzymają gospodarstwo domowe na swojej głowie, a raczej ciągną wóz z długami. Nie pokazujemy ich twarzy, żeby nie wskazywać, to te, których nie stać na opłaty. Nie podajemy też ich imion, bo boją się jeszcze większych problemów ze strony Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej, niż mają teraz.

- Z urzędnikami zacząć, to szkoda słów. Zapytasz o coś, to zaraz napiszą pięć rzeczy, które mają do nas. Człowiek zapyta o remont klatki schodowej, to wyliczą, że mamy więcej metrów mieszkania niż sami podali. Aż strach o coś pytać - mówi pani D. I opowiada: - Mieliliśmy ogrzewanie na prąd, wiadomo, drogo i zimno. Akurat trwała wymiana kopciuchów. U sąsiada stawiali piec gazowy, to się upomnieliśmy. Postawili nam kaflowy i to je-



FOT. E. GNIEWEK-JUSZCZAK

den, bo stwierdzili, że starczy. Nie możemy w nim palić, bo kominiarz ze wspólnoty powiedział, że „absolutnie nie, bo jest źle postawiony, nie ma wentylacji”. Mówił, że możemy się zatruć czadem.

- Kiedy znów powiedzieliśmy o piecu, to nam odpowiedzieli, że nasza ubikacja powinna być na korytarzu, a przecież jest w środku od wielu lat. Teraz nie wiemy, czy możemy korzystać z łazienki - dodaje pani C.

Prokuratura umorzyła sprawę

Kobiety twierdzą, że jest wiele osób pokrzywdzonych, starszych, którzy z internetu nie korzystają, więc nie wiedzą, że ZGM w Zielonej Górze źle nalicza czynsze mieszkańcom, którzy wyrokiem sądu mieli przydział mieszkania socjalnego. Przepisy z 2019 roku umożliwiały opłatę w wysoko-

ści 1,06 zł za metr kwadratowy, ale musieli płacić 9,50 zł. Sprawę nagłośnili związkowcy z „Solidarności”. Stanęli w obronie sygnalisty. ZGM zapowiedział pisma z przeprosinami. Wyliczono, że za wysokie czynsze płać niecałe 50 osób. Kiedy dopytywaliśmy, okazało się, że chodzi o 150 rodzin, po prostu więcej było ludzi zadłużonych niż takich, którzy nadpłacili czynsz. Zadłużenie powodowało koszty komornicze i sądowe.

- Dla nas ta sytuacja jest mocno bulwersująca. Pójdą przeprosiny, czyli nic się nie stało? Powstaje pytanie, czy naprawdę nikt nie poniesie odpowiedzialności za tę sytuację? Trudno mi to zrozumieć - mówił w czerwcu Rafał Jaworski, przewodniczący Organizacji Międzyzakładowej NSZZ „Solidarność” nr 20 w Zielonej Górze, który nagłośnił temat. Działacze zawiadomili proku-

ratę, pomogli mieszkańcom złożyć skargi na ZGM do rady miasta. Radni skargi odrzucili. A śledczy umorzyli sprawę.

Siedem dni na opuszczenie lokalu

Panie C i D mówią o ciągłym poczuciu zagrożenia i rozczarowaniu instytucją, która powinna pomóc mieszkańcom najbardziej potrzebującym.

- Gdybyśmy wiedzieli, że mamy płacić więcej płacilibyśmy tyle, co trzeba. Nikt nam przez lata o tym nie powiedział - mówi pani D.

- Kiedy napisaliśmy, że ZGM jest winny nam pieniądze, to się dowiedzieliśmy, że jedna osoba ma nadpłatę, a druga niedopłatę w tym samym mieszkaniu - mówi pani C. Kobięcie nie wierzono, że opłacała przelew z jej nazwiskiem. Miała udowodnić, że dawała pieniądze osobie z rodziny, która robiła te przelewy. - To tak, jakby

płaciło się za czynsz na pocztę, a ZGM stwierdził, że to pocztą za nas płać. Jakiś absurd - słyszymy.

W listopadzie 2025 r. część rodziny dostała wezwanie do zapłaty kilkunastu tysięcy złotych z odsetkami w ciągu siedmiu dni i nakaz opuszczenia lokalu w takim czasie.

- Nerwy takie były. Nie wiadomo było, co robić, czy się pakować, gdzie iść, jak się odnieść. Był strach - wspomina jedna z kobiet.

Rodzina napisała pismo. - Po paru dniach przyszła odpowiedź, że już wszystko jest okej, że moja nadpłata przeszła na zaległości członków rodziny, a odsetki się anulowały - opowiada pani C.

Czynsz raz duży, raz mały. I znów duży

- Człowiek nie wie, na czym stoi. Zamieszkaliśmy tutaj przed laty z mężem i dziećmi.

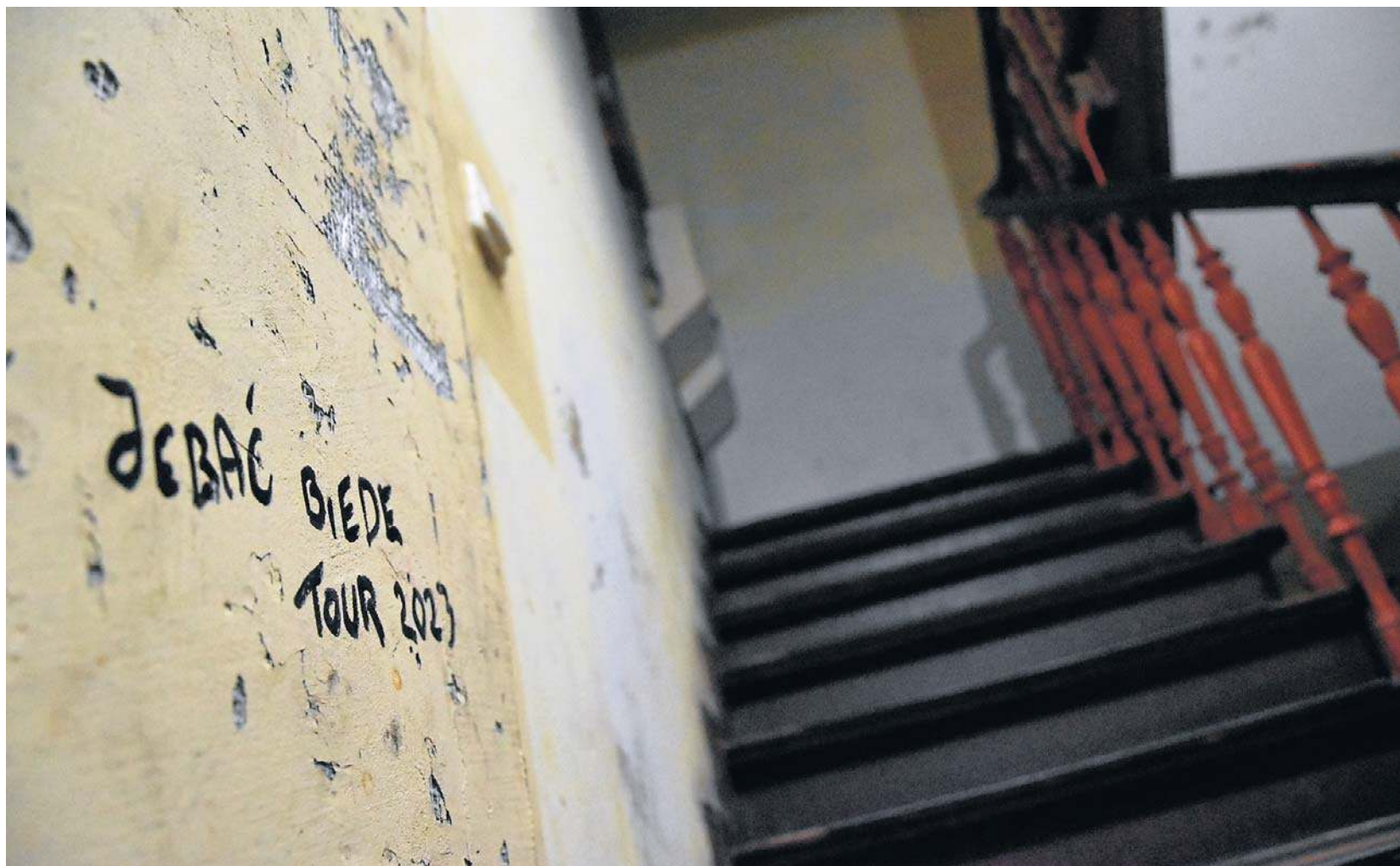
To miało być mieszkanie zastępcze na czas oczekiwania na mieszkanie spółdzielcze. Chodziłam do wojewody prosić i już mieli przydzielić, ale zmiana wojewody zachodziła i tak kilka razy. Pecha mam cały czas. W dług popadłam po tym, jak mąż stracił pracę. Dzieci się uczyły. Było tak, że albo opłaty robić, albo wyżywienie dzieciom dać - opowiada pani B. Na około 50 metrach kwadratowych mieszka osiem osób.

- Od 1961 roku w naszej kamienicy nie było remontu. To, co sami zrobimy, to jest zrobione. Jak komórki mieli naprawić, to woleli rozebrać. Cały czas tłumaczyli, że to mieszkanie przeznaczone do rozbiórki. W 2010 roku dostałam wyrok eksmisyjny. Od 15 lat nie przydzielono mi lokalu socjalnego. Dalej tutaj mieszkamy. Nie wiem, czy jesteśmy na jakiejś liście oczekujących. W czynszu miałam nawet wyszczególnianą opłatę za samowolne zajęcie mieszkania. Od 2019 roku zgodnie z ustawą powinien płacić mniej - uważa pani B.

W marcu rodzina dostała informację na piśmie o obniżeniu stawki do 1,06 zł za metr kwadr. We wrześniu przywrócono stawkę 9,50 zł. Skarga do urzędu miasta na działania dyrektora i księgowej podobnie, jak wszystkie inne od mieszkańców w takiej sytuacji, została uznana za bezzasadną.

W uzasadnieniu ZGM podała, że jeden z członków rodziny powinien płacić stawkę wyższą, więc wszyscy mają płacić taką stawkę solidarnie.

- Teraz to, co wpłacam do ZGM, jest zaliczane na poczet długu. Twierdzą, że spłacają starsze zobowiązania, ale w zestawieniach nie widać, by jakikolwiek dług został pokryty. Odsetki cały czas rosną - opowiada pani B. - Jak obniżyli rachunek, była radość. Nawet pojechałam się spytać, czy dobrze naliczyli, że później nie wyszło, że płacę nie tyle, co trzeba. Tak było od maja do września. Radość trwała krótko - stwierdza kobieta.



FOT. E. GNIEWEK-JUSZCZAK

- Ten, co ma, nie zrozumie tego, co nie ma. Tak uważam. Kiedyś było jakoś inaczej. Dzisiaj, każdy robi, co chce. W ABM-ie ciężko cokolwiek się dowiedzieć. Słyszałam „bo tak musi być”. Jak chciałam, żeby te rozliczenia wyliczyli, to dopiero jedna z pracownic pomogła. Potem zobaczyłam w telewizji, że źle czynsze nam naliczali - mówi jeszcze pani B.

- Rodzina znalazła się w ping-pongu administracyjnym. Trwa tylko odbijanie pism, a nie ma ze strony ZGM chęci pomocy. Rodzina jest w spirali długów, która trwa od lat. Rada od urzędników jest jedna, rozliczajcie się między sobą. Małżonek złożył pismo do ZGM z prośbą o wyjaśnienie, dlaczego policzyli raz tak, raz inaczej. Przecież to podważa zaufanie do instytucji publicznej. Dostał odpowiedź, że jemu nie należy się niższa stawka i pozostali członkowie rodziny, siedem osób, muszą płacić wyższą. Co z pozostałymi, dla czego opłaty naliczane są na korzyść gminy, a nie na korzyść osób, które powinny być chronione przez prawo? Ochrona praw lokatorów powinna funkcjonować - przekonuje Rafał Jaworski.

100 metrów pani A. Do zamiany rudera

- Rozliczenie za mieszkanie, przychodzi, co dwa miesiące. Wiosną patrzę, czynsz niecałe 200 zł. Mówię, „co jest grane?”. W ten sam dzień trafiłam w GL na artykuł i wypowiedź pani w podobnej sytuacji do mojej, która płaciła 9 złotych z gro-

szami i dostała czynsz 1,06 zł. Gdyby nie ten artykuł, w ogóle nie wiedziałabym, o co chodzi. Pewnie bym wydzwaniała do ABM - opowiada pani A. - Od 2019 roku, od kiedy powinien być naliczany niższy czynsz, ludzie byli oszukiwani - stwierdza.

W sytuacji kobiety, stawka za metr kwadratowy dziewięć razy większa, to ogromna różnica w czynszu, bo ma wielkie mieszkanie. Chętnie by się zamieniła na mniejsze, ale dostała propozycję lokalu w stanie tragicznym. Na dowód pokazuje zdjęcia. Zniszczona toaleta i to na podwórku. W mieszkaniu popękane ściany, pofalowana podłoga do wymiany, tynki do zbiccia, wszędzie wilgoć.

- Gdyby od początku czynsz był poprawnie naliczany, pewnie nie popadłabym w długi, a jeżeli nawet, to na pewno nie w tak duże. Mam komornika na emeryturze, który co miesiąc potrąca mi 840 zł. Obiecano jakieś wyjaśnienia, pisma o tym, co się będzie działo, jak te koszty zostaną mi zwrócone, jak ten komornik rozliczony, niczego się nie doczekałam. Nic nie wiem - mówi.

- Nie wiem, czy to kwestia całego stresu, ale jak zaczęły się te długi, to zaczęłam chorować. Nie wiem, czy to jest uzależnione do siebie, ale cała ta sytuacja to duży stres. Cały czas przychodzą pisma od komornika, że zadłużenie rośnie, mimo spłaty. To naprawdę jest stresujące - mówi i wymienia szereg chorób, które utrudniają jej życie. - Często stajemy

przed wyborem, czy kupić leki, czy jedzenie - zdradza.

Krzywdą powinna być naprawiona

- Ci ludzie przez ten długi czas, nie mieli pieniędzy, żeby spłacać czynsze, musieli się zadłużać, często w rodzinach itd. Ponieśli szkodę. Uważam, że powinni być wypłacone im odsetki od nadpłaconych czynszów. Jeśli jest krzywda trzeba ją naprawić - przekonuje radny miasta z klubu Prawa i Sprawiedliwości Grzegorz Maćkowiak, który zajął się sprawami najbiedniejszych mieszkańców. Stwierdza, że sprawa w ZGM-ie nie została do końca wyjaśniona. - Oczywiście, zawarto pewne porozumienie, wypłacono środki, które zostały niewłaściwie naliczone. Ale krzywda się wydarzyła. Tym bardziej, że to nie jest tak, że ZGM to biedny zakład. Pan prezydent powinien się mocniej w tę sprawę zaangażować. Myślę, że zdyscyplinowanie myślenia dyrektora zakładu powinno nastąpić, nie wiem, dlaczego tak nie jest - mówi radny.

Działacz „Solidarności” Rafał Jaworski, który nie przestaje angażować się w pomoc dla mieszkańców tłumaczy, że komornik nalicza swoje koszty procentowo od zadłużenia.

- Dług powinien być niższy, gdyby czynsz został prawidłowo wyliczony i zadłużenie zostało zmniejszone. Koszty komornicze byłyby niższe. A tak cały czas zadłużenie najbiedniejszych rodzin rośnie. To było wiele razy zgłaszane

do urzędu. I nic się nie poprawiło - stwierdza.

Kogo ZGM informował?

Na pytanie, kiedy wszystkie rodziny, których dotyczy problem dostaną informację o tym, na czym stoją, czyli o ile mniejsze jest ich zadłużenie wobec ZGM, odpowiedziano, że w grudniu wszystkim mieszkańcom zasobów komunalnych zostały wysłane zawiadomienia o stanie ich konta rozliczeniowego dotyczącego płatności za lokale.

- Zakład Gospodarki Mieszkaniowej w Zielonej Górze dokonał korekt zawyżonych czynszów osobom, którym te korekty się należały. Do komorników zostały zgłoszone nowe wysokości zadłużeń, a co się z tym wiąże zakład w uzasadnionych prawem przypadkach ograniczył w postępowaniu egzekucyjnym komorniczym wysokość kosztów komorniczych, sądowych, zastępstwa egzekucyjnego i zastępstwa adwokackiego, wysokość długu wraz z naliczonymi odsetkami - odpowiada dyrektor Rafał Bukowski.

Wyjaśnia też, że mieszkańcy, których dotyczył problem zawyżenia stawki opłaty za zamieszkiwanie w lokalach komunalnych, u których wystąpiła nadpłata po dokonaniu korekt zostali powiadomieni trzykrotnie o tym fakcie.

- Pierwsze powiadomienie zostało wystane w czerwcu, drugie w październiku a trzecie w grudniu 2025 r. W tych powiadomieniach zostali także poinformowani, że mogą złożyć wniosek o zwrot nadpłaconych

środków bądź zaliczyć nadpłatę na poczet przyszłych zobowiązań wobec ZGM. Wszystkim osobom, które do dzisiaj złożyły takie wnioski, środki finansowe zostały zwrócone - wyjaśniono.

Tymczasem, w połowie grudnia zadłużona pani A dostała informację o stanie swojego konta w ZGM. Nie dostała żadnych wyjaśnień. A jedno z niewielu zdań brzmi „W informacji nie ujęto ewentualnych zaległości skierowanych na drogę postępowania sądowego komorniczego”.

ZGM: Długi można spłacać w ratach

Na pytanie, co ZGM robi, aby pomóc rodzinom, które przez zawyżony czynsz wpadły w spiralę długów, odpowiedziano, że zakład w żadnym przypadku się do tego nie przyczynił.

- Osoby, których problem zawyżonych opłat dotyczył, nie byłyby obarczone tą sytuacją, gdyby nie fakt, że przed 21 kwietnia 2019 r. (zmiana przepisów prawa) byli już dłużnikami Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej. Błąd pracowników zakładu polegał na zastosowaniu po 21 kwietnia 2019 r. błędnej stawki odszkodowania dla osób, które na podstawie wyroków eksmisyjnych z prawem do lokalu socjalnego powinny ponosić odszkodowanie w wysokości, jakie byłyby obowiązywane opłacać za zajmowany lokal na podstawie umowy najmu socjalnego. Jak widać już z konstrukcji przepisu problem dotyczy

osób, którym orzeczono wyrokiem sądowym za zadłużenie wobec Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej eksmisję z prawem do lokalu socjalnego. Osoby te świadomie zadłużały się we wcześniejszych latach, nie płacąc opłat za zamieszkiwanie w zasobie komunalnym. Były niejednokrotnie wzywane do zapłaty, były ostrzegane, że brak płatności spowoduje wypowiedzenie umowy najmu lokalu. A i tak doprowadziły do wypowiedzenia umowy najmu za zadłużenie i bezprawnego zamieszkiwania w lokalu - czytamy w odpowiedzi ZGM.

- Potwierdzeniem wcześniejszego zadłużenia tych osób są wyroki sądowe, które zakład uzyskał na drodze postępowania sądowego w celu zabezpieczenia swoich należności. Dopiero takim dłużnikom (z zasądzonym wyrokiem eksmisyjnym z prawem do lokalu socjalnego) zmiana przepisów w kwietniu 2019 roku nakazała naliczać niższą wysokość opłaty za bezumowne zajmowanie lokalu komunalnego.

Przypomniano też, z czego składała się miesięczna opłata za zamieszkiwanie w lokalach komunalnych. - Trudno więc stwierdzić, że Zakład Gospodarki Mieszkaniowej przyczynił się swoim błędnym działaniem do spirali długów mieszkańców zasobów komunalnych. Po poprawnym naliczeniu opłaty za bezumowne zamieszkiwanie lokali komunalnych większość mieszkańców, których ten problem dotyczył, jest dalej długoletnimi dłużnikami zakładu. Jak wspomniałem już wcześniej osobom, u których po korekcie opłat wystąpiła nadpłata środki finansowe zostały zwrócone. Zgodnie z uchwałą Rady Miasta Zielona Góra wszyscy dłużnicy zakładu mogą ubiegać się o rozłożenia zaległości na raty - informuje dyrektor ZGM.

Została wiara w sąd

Rafał Jaworski z Solidarności źródło problemu widzi w braku polityki mieszkaniowej miasta. - Lokale komunalne są zaniedbane i niedofinansowane. Z tego powodu cierpią najsłabsi obywatele naszego miasta, a wszyscy mieszkańcy Zielonej Góry ponoszą konsekwencje, bo znajdują się miliony złotych na lotnisko, czy propagandę, ale nie ma pieniędzy na godne warunki mieszkaniowe - uważa. Pyta, jak miasto ma się rozwijać, kiedy ludzie żyją w takich warunkach. Przypomina też, że z podatków mieszkańców kupiony został dla dyrektora ZGM samochód służbowy za 189 tys. złotych.

Na decyzję prokuratury o umorzeniu „naliczania za wysokich czynszów”, zielonogórska Solidarność wniosła zażalenie. - Mamy nadzieję, że sąd jednak przyjrzy się tej sprawie - liczy Jaworski.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Historię najstarszej gazety w Zielonej Górze możemy poznać oglądając wystawę w bibliotece Norwida. Dzięki temu, co pisano 100 czy 200 lat temu, dziś wiemy, jak dawniej wyglądało życie Zielonogórczyków, jakie dyscypliny sportowe najbardziej ich interesowały, jak się ubierali, z czyich usług korzystali. I jak to było z zielonogórskim winem...

Leszek Kalinowski, Jacek Katos

Grünberger Wochenblatt była wydawana od 1825 do 1944 roku. W tym czasie przekształcała się z tygodnika w gazetę codzienną - mówi dr Przemysław Bartkowiak, wicedyrektor Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Norwida. - Na łamach można znaleźć ciekawe, nie tylko dla historyków, materiały. Wszystkie roczniki znajdują się w zbiorach Zielonogórskiej Biblioteki Cyfrowej, są zdigitalizowane (przekształcone z papieru w formę cyfrową) i można je przeglądać w domu.

Stało się to możliwe dzięki unijnym funduszom z Euroregionu. Część egzemplarzy papierowych znajduje się w zbiorach biblioteki, część w Archiwum Państwowym, które udostępniło brakujące biblioteczne numery.

- Z okazji 800-lecia Zielonej Góry i 700-lecia nadania praw miejskich zakupiliśmy skany mikrofilmów z Grünberger Wochenblatt z Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu. W ten sposób pozyskaliśmy komplet gazet, wychodzących prawie do końca drugiej wojny światowej - dodaje wicedyrektor.

Ciekawi nas przedwojenna historia miasta

Irena Wolska z Zielonej Góry jest stałą Czytelniczką „Gazety Lubuskiej”.

- Wiem, że dziś jest wiele źródeł informacji. Korzystam z nich także, ale mam już taki nawyk, że dzień zaczynam od lektury „GL” - mówi. - Wyobrażam sobie, że przed stu, dwustu laty wielu mieszkańców też tak robiło. Nie było telewizji, Internetu. To gazeta przekazywała najważniejsze wiadomości.

Pani Irena widziała wystawę. Przypomina, że o wielu rzeczach nie miała pojęcia.

- A interesuje mnie przedwojenna historia miasta. Często zastanawiam się, jak zachowywali się dumni mieszkańcy, jakie stroje nosili, gdzie odpoczywali. - To ciekawe, że kiedy wyszła pierwsza gazeta, Zielona Góra była miasteczkiem, liczyła niecałe 9 tysięcy osób.

Pierwszy numer tygodnika Grünberger Wochenblatt ukazał się 2 lipca 1825 roku. Co sobotę mieszkańcy otrzymywali świeże informacje. Gazetę można było nabyć w specjalnych punktach, na pocztę lub mógł ją przynosić do domu listonosz. Nie brakowało też prenumerat, którzy płacili 12 srebrnych groszy za kwartał. Początkowo artykuły nie były podpisywane nazwiskami autorów.

Przyjaźnie nastawiony do Polaków

Założycielem, właścicielem i jednocześnie wydawcą ga-

zety był drukarz, Heinrich August Krieg. W 1836 roku tygodnik przejął Martin Wilhelm Siebert. Ważnym wydarzeniem w historii czasopisma było zatrudnienie w 1838 roku jako redaktora, pochodzącego z Głogowa prawnika Wilhelma Levysohna. Po czterech latach pracy stał się on już samodzielnym właścicielem Grünberger Wochenblatt. W tym czasie zwiększono częstotliwość ukazywania się gazety. Po wybuchu I wojny światowej wychodziła już codziennie. - Ten czas, a także później, kiedy ster przejął syn Wilhelma, Ulrich, nazywa się złotą erą gazety. Jej nakład wynosił 10 tysięcy egzemplarzy, zważywszy że w Zielonej Górze mieszkali wówczas 25 tysięcy ludzi, można mówić o dużym sukcesie - podkreśla dr Paweł Karp, kurator wystawy. I dodaje, że gazeta za czasów Levysohna określana była jako liberalna i polska.

Żoną Wilhelma była Filipina, której rodzina pochodziła z Leszna i Poznania, a ona sama mówiła, że jest Polką. Negatywnie wypowiadała się o Niemcach jako społeczeństwie.

W 1847 roku Levysohn bronił 254 Polaków oskarżonych o spisek i chęć wywołania powstania. Gazeta została uznana za niebezpieczną, a wydawcy postawiono zarzut obrazy króla pruskiego. Został skazany na karę więzienia oraz grzywnę. Uchyłono mu immunitet, bo był posłem do Zgromadzenia Narodowego we Frankfurcie. Po wyjściu z więzienia nadal wydawał gazetę i był przyjaźnie nastawiony do Polaków.

Dziennik przybrał inny charakter, gdy do władzy doszedł Adolf Hitler. Nastąpiła wymuszona zmiana właścicieli, a samo pismo podzieliło los całej niemieckiej prasy, stając się propagandowym organem władz.



Wystawa „Grünberger Wochenblatt – 200-lecie powstania” jest ważna ze względu na to, że przedstawia dzieje najstarszego zielonogórskiego czasopisma – mówi dr Paweł Karp

Najpierw świat, kraj, potem informacje lokalne

W pierwszym numerze tekst główny to historia druku: „Właśnie Zielona Góra dołączyła do miast, które mają drukarnie - czytamy w artykule.

Z innego tekstu dowiadujemy się, że w mieście jest problem z nadmiernym picciem wina. Dlatego przedstawiono sześć punktów, mówiących o szkodliwości picia tego trunku. Jeden z tych punktów, mówił o tym, że wino szkodzi, gdy spożywa się go w niewłaściwym towarzystwie.

Jak wyglądał rozkład informacji? - Na początku były opowiadania, eseje, później przechodziliśmy do różnych ogłoszeń władz miasta, sądów, dalej były ogłoszenia drobne. Jeśli chodzi o informacje, to rozpoczynały się one od wiadomości ze świata, kraju, a na końcu były wieści lokalne - zauważa dr Karp. - Gazeta miała wielkie

ambicje i chciała przekazywać najważniejsze informacje z całego globu.

W jaki sposób je pozyskiwała? Dzięki korespondentom m.in. w Paryżu czy Londynie, którzy wysyłali depesze drogą pocztową lub radiową.

W 1936 roku opisywano Igrzyska Olimpijskie w Berlinie i o dziwo bez politycznych podtekstów.

Informacje lokalne były na końcu, znaleźć tam można było np. rozkład jazdy pociągów m.in. na linii Zielona Góra - Nowa Sól - Głogów, był też program radiowy, prognoza pogody nawet dla Wrocławia, informowano o cenach na targowisku. Były też ogłoszenia kościelne, wykazy urodzin, ślubów i zgonów w mieście i okolicy.

Z czasem coraz większy był dział reklamy. Ogłoszenia zmieniły się wraz z rozwojem grafiki. Do kupna zachęcały sklepy odzieżowe, obuwnicze, salony samochodowe. Zresztą gazeta

na bieżąco informowała o nowych modelach Opla, Mercedesa, Forda. Szerokim echem odbił się tekst o pojawieniu się garbusa, który wcale nie był autem dla wszystkich, bo przecież nie każdego było na niego stać.

Piłka nożna, kolarstwo, pływanie

- Prezentowano też artykuły, dotyczące mody. Nie tylko dla pań. I nie tylko tej na co dzień. Pokazywano też modę sportową, na lato i związaną ze sportami zimowymi - opowiada dr Karp. - Jakimi wydarzeniami sportowymi żyło wówczas miasto? Dla mieszkańców najważniejsza była piłka nożna, poza tym Zielonogórczyków interesowało kolarstwo i pływanie.

Czytelnicy lubili pływać, rekreacyjnie robili to na basenie w Dolinie Luizy (dziś to Wągrowo). Kąpielisko było oczywiście ogrodzone. Wysoki płot w XIX wieku miał za zadanie uchronić panie przed ciekaw-

skimi oczami mężczyzn. Wszak panowie i panie kąpały się osobno.

- Chyba te upodobania mieszkańców się nie zmieniły. Często chodzę na basen w Centrum Rekreacyjno-Sportowym i widzę, jakie tam tłumy codziennie się przewijają - zauważa Wojciech Wróbel, który z zainteresowaniem obejrzał wystawę w Norwidzie. - A jazda na rowerze też jest u nas popularna. Mieszkańcy zawsze chętnie uczestniczą w różnych rajdach, masach krytycznych czy rowerowych akcjach charytatywnych. Mamy też sukcesy w tej dziedzinie na skalę światową, myślę tu chociażby o Krzysztofie Felchnerze. Różni nas natomiast to, że miasto żyje dziś zupełnie inaczej niż kiedyś.

Jedynki z zielonogórskimi wydarzeniami

Choć dziennik zwykle na pierwszych stronach informował o tematach ze świata i kraju, to jednak były wydania, w których to lokalne wydarzenia okazywały się najważniejsze. Na wystawie możemy zobaczyć okładki gazet, dotyczących np. uroczystego odsłonięcia pomnika poległych w czasie pierwszej wojny światowej, pożaru w zakładach Beuchelta w 1936 roku (większość mostów drogowych, kolejowych oraz starych mostów na Odrze pochodzi z tego zakładu m.in. Most Grunwaldzki we Wrocławiu, most w Cigacicach, czy w Szczecinie). Na okładce znalazło się też Winobranie.

Na stulecie gazety, w 1925 roku, przygotowano specjalne 64-stronicowe wydanie, w którym nie brakowało tekstów o powstaniu i historii dziennika, który miał opinię najbardziej demokratycznego i liberalnego w całych Niemczech.

Przez niemal 120 lat Zielona Góra mogła poszczycić się swoim nieprzerwanym wydawanym czasopismem, które mimo zmiany formuły zachowało historyczną nazwę.

Gazety po drugiej wojnie światowej

Jak wyglądała historia miasta i jego mieszkańców po drugiej wojnie światowej, także możemy dowiedzieć się z regionalnych gazet, które zaczęły się ukazywać w Zielonej Górze. Najpierw o mieście pisał „Głos Wielkopolski”. Artykuły znajdziemy w Wielkopolskiej Bibliotece Cyfrowej. Od lat 50. po dziś informuje o mieście i województwie „Gazeta Lubuska”, której archiwalne numery znajdziemy w Zielonogórskiej Bibliotece Cyfrowej. Norwid posiada także papierowe, archiwalne wydania „Gazety Lubuskiej”. Przekazaliśmy mu także niedawno swoje archiwalne numery, które będą uzupełnieniem tego, co biblioteka ma w swoich dotychczasowych zbiorach.



MROŹNO I BIAŁO. TAKIEJ ZIMY DAWNO NIE BYŁO

Sypnęło śniegiem, ścisnął mróz – mamy prawdziwą zimę. Jedni narzekają, inni wręcz przeciwnie. W niektórych województwach właśnie zaczynają się ferie, więc cieszą się zwłaszcza ci, którzy ruszają na zimowy wypoczynek. Górale już zacierają ręce i liczą dudki, właściciele nadmorskich pensjonatów przygotowują gościnne pokoje, ale też zima 2026 może być jednym z najbardziej intensywnych sezonów od lat

Dorota Kowalska



FOT. ARC. POLSKA PRESS

Za oknem świat jak w bajce. Dzieci się cieszą, ale kierowcom jeździ się trudno

Świat wokół wydaje się bajkowy, wszystko pokrywa biały puch. Kiedy z psakiem wybieram się rano do lasu, mijają nas zazwyczaj ci sami ludzie z tymi samymi czworonogami. Od kilku tygodni jest inaczej – na leśnych ścieżkach tłum.

– Marszałkowska! – wybucha śmiechem koleżanka, właścicielka owczarka niemieckiego o wdzięcznym imieniu Koks.

W śniegu po kolana po lesie spacerują całe rodziny. Maluchy zjeżdżają z górki na sankach, dorośli szusują na nartach biegowych, psiaki z nosami w zaspach próbują wytropić zapach leśnej zwierzyny. Między drzewami wyrosły śnieżne bałwany z marchewkami zamiast nosa,

ziemniakami zamiast guzików i oczu. Zabawa, śmiech.

– Mnie tam do śmiechu nie jest – wzrusza ramionami nasz osiedlowy gospodarz, który od 6.00 rano odśnieża osiedlowe dróżki.

– Robota na okrągło, bo co odgarnę, zasypie znowu – narzeka. Do pomocy ściągnął syna, który przed pracą macha łopatą razem z nim.

To prawda, zima na całego. Nie tylko w Polsce – prawie 80 proc. Europy pokryte jest białym puchem. Meteorolodzy z serwisu Ventusky przygotowali specjalne mapy, które pokazują, jak zmieniał się śnieżny krajobraz w Europie od 2009 do 2026 roku. Wybrano jedną datę – 8 stycznia.

„Pokrywa śnieżna była znacznie większa tylko w 2010 i 2009 roku, natomiast podobny zasięg odnotowano w 2017 roku. W kontekście ostatnich 20 lat obecna pokrywa śnieżna plasuje się na czwartym miejscu” – wyjaśniono.

Skąd ten zimowy armagedon? Jak tłumaczą eksperci, powodów jest przynajmniej kilka. Pierwszy – nad Europą utrzymuje się silny wyż polarny, który sprowadza wyjątkowo zimne masy powietrza znad Arktyki. Drugi – to La Niña (z hiszpańskiego „dziewczynka”). Co to takiego? Obniżenie temperatury powierzchniowych wód Oceanu Spokojnego. Podczas występowania tego zjawiska pasaty przybierają na sile.

Zimne prądy morskie przemieszczają się wzdłuż równika i zachodniego wybrzeża Ameryki Południowej. Wówczas temperatury powierzchniowych wód oceanicznych zmniejsza się o 4 stopnie poniżej normalnych wartości. La Niña wpływa na globalne prądy atmosferyczne i powoduje nietypowe warunki pogodowe w Europie, w tym zwiększoną liczbę opadów śniegu i silne mrozy. Więc mamy, co mamy. Jedni się cieszą, inni machają łopatami albo stoją uwięzieni w kilometrowych korkach.

Ferie czas zacząć

Ciesz się ci, którzy planują swoje urlopy. W tym roku ferie zimowe po raz pierwszy będą

podzielone na trzy tury, rozpoczną się 19 stycznia, a więc już w ten poniedziałek, i potrwają do 1 marca.

Adam razem z rodziną – żona, dwójka dzieci – od lat jeździ w ferie zimowe do Szczyrku. Wszyscy szusują na nartach, więc pierwszy tydzień przerwy zimowej spędzają w górach. Jest drogo, ale mają swój ukochany pensjonat, zaprzyjaźnili się z gospodarzami, u których wynajmują dwa pokoje.

– Płacimy za noclegi może nie po starych cenach, ale stosunkowo mało, a to na pewno obniża nam koszty pobytu. Możemy korzystać z kuchni, więc śniadania, kolacje, a czasami obiady przygotowujemy sami. Nie byłoby nas stać, żeby całą czwórką przez tydzień żywić się na mieście – tłumaczy.

Tym bardziej, że trzeba opłacić wyciągi. Czasami przekąsić coś na trasie.

– Ale nie wyobrażamy sobie, żeby nie pojechać w ferie na narty. Dzieci by tego nie przeżyły – wybucha śmiechem Adam. – Uwielbiam narty. Zresztą nam też zależy, żeby się trochę ruszały, były sprawne fizycznie, nie siedziały godzinami z nosami w smartfonach – dodaje.

Spędzają ten czas intensywnie. Rano śniadanie, potem na wyciąg, wracają do pensjonatu na obiad, który przygotowują razem, po południu znowu narty. Jeśli dzieciaki chcą odpocząć od stoku, robią sobie wycieczki albo idą na basen. Wracają do domu trochę zmęczeni, ale szczęśliwi.

Drugi tydzień ferii syn i córka odpoczywają w mieście. Spotykają się z kolegami, chodzą do kina, zajmują się swoimi sprawami.

Z badań wynika, że zima 2026 może być jednym z najbardziej intensywnych sezonów od lat. Polska Organizacja Turystyczna zapytała na przełomie listopada i grudnia dorosłych Polaków, czy w okresie od 24 grudnia 2025 roku do 1 marca 2026 roku planują wyjechać gdzieś na wypoczynek. 51 procent odpowiedziało – tak.

Ponad jedną czwartą wszystkich respondentów (27 procent) spędzi zimowy urlop wyłącznie w Polsce, co dziesiąty (11 procent) wyjedzie za granicę, a 7 procent z nas będzie tu i tu.

W Polsce najchętniej wybieramy góry (31 procent badanych), nad polskie morze lub do innego miasta w kraju zamierzają wyjechać co piąty badany (19 procent). W kraju najchętniej zimą wypoczywamy w gronie rodzinnym – tak deklaruje 77 procent ankietowanych, 9 procent wybierze się na krajowy wyjazd zimowy samotnie.

Chcemy głównie odpocząć, zrelaksować się, ale też zwiedzać, uprawiać sport „z dala od cywilizacji i tłumów”.

Tych, którzy zadeklarowali, że zimą polecą za granicę, POT zapytał, dlaczego nie chcą od-

począć w kraju. Co trzeci pytany wskazał, że „chciał pojechać do tego, konkretnego miejsca”, 29 procent „chciało mieć gwarancję dobrej pogody”, a 23 procent było zdania, że „wyjazd za granicę w standardzie, jakiego oczekuję, jest tańszy niż w Polsce”.

Także według danych portalu rezerwacyjnego Triverna.pl w tym roku liczba rezerwacji jest o 26 procent wyższa niż rok temu. Morze odpowiada już za 49,8 procent z nich, góry, choć taniej, notują lekki spadek udziału – z 44,9 do 42 procent rezerwacji.

– Widać wyraźnie, że część klientów szuka dziś alternatywy dla zatłoczonych kurortów górskich. Morze zimą przestaje być egzotyką, a coraz częściej jest świadomym wyborem – także dla rodzin – mówi Krzysztof Dębski, Chief Marketing Officer w Triverna.pl.

Choć wciąż dominują wyjazdy krajowe, rośnie znaczenie rezerwacji zagranicznych. W ubiegłym roku stanowiły one zaledwie 2, dziś to już 5 procent wszystkich rezerwacji, a ich udział w wartości sprzedaży jest jeszcze wyższy – zagraniczne ferie są bowiem wyraźnie droższe.

Gdzie jechać?

Tak więc góry i morze. Górale już zacierają ręce i liczą dudki, ale też ferie zimowe to dla nich dobry czas. Śnieg? Jak najbardziej, on przyciąga turystów. W Zakopanem jest go nawet w tym roku za dużo. Zabrany z ulic trafił na specjalnie wyznaczone place składowe, teraz ciężarówka regularnie wywożą go z miasta.

Nie tylko drogowcy mają co robić, ratownicy górscy też szykują się na turystyczny sezon: ruch w górach zaczął się już od świąt Bożego Narodzenia, potem było święto Trzech Króli, teraz zaczynają się ferie.

Tymczasem turyści wciąż nie przestrzegają zasad. Grzech pierwszy: Idą w góry i nie sprawdzają prognozy pogody. Patrzą w niebo, świeci słońce, więc ubierają buty i ruszają przed siebie.

Grzech drugi: Są nieodpowiednio ubrani. Wchodzenie na szlaki w kłapkach czy butach na obcasach to skrajne przypadki, chociaż takie też się zdarzają. Tymczasem do górskiej wycieczki w zimie trzeba naprawdę dobrze się przygotować.

Grzech trzeci: Brak racjonalnego myślenia.

„Niestety, nowoczesność ma drugą, ciemną stronę – psuje ludzi, rozleniwia ich i sprawia, że często nie potrafią realnie ocenić sytuacji, a co za tym idzie, mają nierealne wymagania” – pisze Beata Sabała-Zielińska w swojej nowej książce „TOPR. Żeby inni mogli przeżyć”.

Świat idzie naprzód. Czasy telefonów na korbkę w schroniskach górskich i awaryjnych ra-

dzieckich UAZ-ów, którymi jeździł GOPR, już się na szczęście definitywnie skończyły. Dziś mamy błyskawiczną formę powiadomienia o wypadkach za pomocą telefonów komórkowych, które ma w kieszeni każdy turysta, a polskie ratownictwo górskie jest obecnie jedną z najlepiej wyszkolonych i wyposażonych służb specjalistycznych na świecie. Dysponuje skuterami śnieżnymi, quadami, nowoczesnymi samochodami terenowymi 4x4 i śmigłowcem. Górcy ratownicy ochotniczy stanowiący 90 procent składu kadrowego GOPR i TOPR, 10 procent to ratownicy zawodowi. Nie mają najlepszego zdania o ludziach, którzy chodzą po górach.

„W dawnych czasach turysta, który nie przygotował się do wycieczki górskiej, ponosił tego konsekwencje. (...) Teraz jeszcze się dobrze nie ściemni, a turyści już wyjmują komóreczki i dawaj dzwonić do TOPR-u z prośbą o ratunek, przy czym ratunek ma polegać na oświetleniu im drogi. I to są sytuacje, w których my dostajemy szafa - przyznają ratownicy - bo to jest dokładnie tak, jakby ktoś, komu uciekł w nocy autobus, zadzwonił na pogotowie ratunkowe z żądaniem odstawienia go do domu z racji tego, że jest ciemno, zimno i żona się niepokoi” - pisze Beata Sabała-Zielińska. I dalej cytuję ratowników TOPR-u, którzy podzielili turystów na grupy. Ich nazwy mówią same za siebie: roszczeniowy żółtodziób, profesjonalny leń, meteorolodzy telefoniczni, przemądrzały gapie.

Polskie morze też staje się coraz atrakcyjniejsze zimą. Tu zostają spacerować, zwiedzanie, relaks w nadmorskich SPA.

Ci, którzy tęsknią za słońcem, wyjeżdżają dalej. Jak mówią właściciele biur podróży, na liście zimowych hitów czy miejsc najchętniej odwiedzanych przez Polaków w styczniu i lutym są Egipt, Wyspy Kanaryjskie, Malta, Cypr.

Marta, mama nastoletniej Elizy, zawsze szuka cenowych „perełek” i zimą, w czasie ferii jest ich całkiem sporo. Obie z córką uwielbiają zimowe wyjazdy tam, gdzie ciepło i bez śniegu.

- To nie musi być wyjazd na dwa tygodnie, zazwyczaj lecimy gdzieś na tydzień. Tak ostatnio byliśmy w Egipcie, a wcześniej na Teneryfie. Wracamy z takich wyjazdów naładowane słońcem i dobrą energią - tłumaczy.

Nie wszystkich jednak stać nawet na tygodniowy wyjazd w góry, nad morze czy za granicę. Dlatego w każdej właściwie miejscowości na czas ferii zimowych kina, teatry, ośrodki i domy kultury przygotowały dla młodych ludzi spektakle, warsztaty czy spotkania z ciekawymi gośćmi. Otwarte są lodowiska, baseny, hale spor-

towe. Wiele szkół decyduje się na organizację półkolonii, chociaż tu o miejsce trzeba zaważać dużo wcześniej.

Anna, 44 lata, księgowa, matka dwóch córek w wieku szkolnym.

- Nie wyjeżdżam z córkami na ferie zimowe, ale na rozszerzony weekend w ich środku. Biorę dwa dni wolnego, ruszamy w piątek rano, wracamy w poniedziałek po południu. Najczęściej w góry, ale zdarzało nam się jechać nad morze. W pozostałe dni ferii córki chodzą na półkolonie do szkoły, są bardzo zadowolone - opowiada. - Ale mamy też inne pomysły na ten czas. W zeszłym roku jedna z córek pojechała ze swoją szkolną koleżanką do mojej siostry, która mieszka we Wrocławiu, a potem koleżanka zabrała ją do swojej babci na wieś, w ten sposób minęły jej całe ferie - opowiada. Takie koleżeńskie wymiany doskonale się sprawdzają. Druga córka też je przetestowała.

A że zima i śnieg, nawet lepiej. Bo do saneczkowych zjazdów nadają się nawet niewielkie góry, a na nartach biegowych można szusować także po nizinach.

Zimno już było

Bo umówmy się, takie zimy jak obecna, a nawet dużo, dużo sroższe już się w Polsce zdarzały. Jedną z najbardziej ekstremalnych była ta na przełomie 1928/1929 roku, gdy termometry w Żywcu spadły poniżej minus 40 st. C, a w wielu miejscach notowano jeszcze niższe, nieoficjalne odczyty. Zasy śnieżne sięgały 2 metrów, komunikacja miejska została sparaliżowana, zdarzały się przerwy w dostawach prądu. Podobnie było na przełomie 1939/1940, gdy w Siedlcach zanotowano rekordowe minus 41 stopni, a mróz utrzymywał się przez ładnych kilka tygodni.

W grudniu 1962 roku „Gazeta Krakowska” donosiła: „Prawdziwy najazd świątecznych gości przeżywają górskie miejscowości wypoczynkowe. Nie obyło się jednak bez trudności i komplikacji. Siarczyści mróz i zasy śnieżne były przyczyną licznych zakłóceń komunikacyjnych. Wszystko zakończyło się dobrze i w przeddzień świąt nasze czasowiska rozbrzmiewają wesołym gwarem”.

To był jednak zaledwie przedsmak tego, co nastąpiło w całej Polsce po Nowym Roku. Sypnęło tak mocno, że już w noworoczny wieczór ruch na wielu drogach praktycznie ustał. Opóźnienia w dostawach węgla z kopalń do elektrowni zagrażały paraliżem energetycznym.

Polska nie była wyjątkiem. We Francji Boże Narodzenie roku 1962 było najmroźniejsze od 83 lat. W Madrycie termometry wskazywały minus 6 stopni, a w Barcelonie leżało 10



Wróciły dawno zapomniane atrakcje: kuligi i przejażdżki saniami zaprzęgniętymi w konie

cm śniegu. W USA zima zaatakowała już w połowie grudnia. Nawet Florydę ścisnął kilkunastostopniowy mróz, a plantacje cytrusów znalazły się pod śniegiem. Mandarynki przeznaczone na świąteczny zbiór przymarzły do drzew.

W Polsce taka zima trzymała przez cały styczeń i luty. Na kolei tory pękały od mrozu, rwały się sieci trakcyjne, pługi śnieżne grzęzły w zaspach. Najstarsi kolejarze nie pamiętali takiej zimy.

Zawiadowca z Płaszowa mówił: „Kto tego nie widział, nie uwierzy. Dwa parowozy nie mogły uciągnąć dwóch wagonów. Na mrozie stwardniały smary, koła grzęzły w zaspach”. Po dwóch dniach sytuacja została opanowana, to znaczy, że np. pociąg z Berlina spóźnił się 300 minut, a nie 500, jak dwa dni wcześniej, a szczeciński tylko 3 godziny.

Podobne sytuacje powtarzały się w ciągu tej zimy kilkakrotnie. Śnieżyce były tak intensywne, że państwowe służby nie dawały sobie rady. Do akcji wkraczało więc społeczeństwo. „Na front zimy” rzucono nie tylko załogi zakładów pracy, ale też uczniów, studentów i zwykłych mieszkańców.

W 1978 roku, czyli 16 lat wcześniej, znowu z odsieczą przybyło pospolite ruszenie. Ówczesna prasa przedstawiała

to oczywiście jako solidarny zryw ludzi pracy. W rzeczywistości stojąca już na skraju zapaści „dziesiąta gospodarka świata” nie była w stanie poradzić sobie z żywiołem. Ludzie musieli sami złapać za szufle, bo inaczej po prostu nie dałoby się żyć.

Prasa donosiła, że w całym kraju „trwa wyjątkowa batalia o przywrócenie normalnego rytmu życia”. Efekty tej batalii nie były jednak imponujące, bo choć mrozy dokuczały dużo mniej niż w roku 1963, to jednak i tym razem nad cały kraj co kilka czy kilkanaście dni nadciągały fale śnieżyc, o czym dobitnie świadczyły choćby same tytuły z gazet: „Znowu opady śniegu”, „Rekordowe opady śniegu”, „Zima ponowiła atak”, „A zima nie chce ustąpić”.

Zadowolona była jedynie młodzież szkolna. „GK” informowała: „Zakłócenia w komunikacji kolejowej i drogowej spowodowały podjęcie przez ministra oświaty i wychowania decyzji o wstrzymaniu powrotu młodzieży przebywającej na zimowiskach. W Nowosądeckiem na przedłużonych ferii pozostało ponad 1300 dziewcząt i chłopców z różnych stron kraju. Ich wyjazd będzie możliwy dopiero za kilka dni, gdy skutki kolejnego ataku zimy zostaną przezwyciężone”.

Kiedy w marcu przyszedł czas na podsumowania, zauważono przytomnie, że zima 1978/1979 była wprawdzie nieco chłodniejsza i dużo bardziej śnieżna, zwłaszcza na północy Polski, niż zimy poprzednie, jednak szczególnie się nie wyróżniła. Przypomniano zimą 1928/1929, uważaną za najchłodniejszą w XX wieku, i wojenną zimą 1939/1940. Również po roku 1980 mrozy i śnieżyce bynajmniej nie odeszły do historii. Do surowych należały zimy 1984/1985 i 1995/1996.

Można więc powiedzieć, że w naszym klimacie mniejsze lub większe zimy stulecia zdarzają się co kilka lub kilkanaście lat.

Cieszymy się białym śniegiem

W tym roku najgorzej było chyba 30 grudnia. Tego dnia, na wysokości Rychnowa w woj. warmińsko-mazurskim, trasę S7 zablokowały w obu kierunkach tiry, które nie mogły podjechać pod wzniesienia. Ludzie utknęli w kilometrowych korkach. W portalach społecznościowych pisali, że nie mogą skorzystać z toalet, nie mają co jeść i pić. Niektórym kończy się paliwo. Policja i służby drogowe stworzyły korytarz życia, którym samochody osobowe mogły z obu stron dotrzeć do Ostródy. Tam, w Urzędzie Miasta, przygotowano dla kierowców i pasażerów posiłki, pomieszczenia, w których mogli odpocząć. Tym, którzy zostali w swoich autach, policjanci dowozili ciepłą herbatę.

Mniej więcej w tym samym czasie wieś Dylewko koło Ostródy została odcięta od świata. Spadło tam około 50 cm śniegu, wiatr tworzył miej-

scami metrowe zasy. We wsi nie ma sklepu, najbliższy punkt z zakupami jest oddalony o dwa kilometry.

- Sytuacja poprawia się, ale wciąż jest poważna. Słyszałem, że ktoś próbował iść do tego sklepu na piechotę. Do Dylewka dojeżdżał też mężczyzna sprzedający pieczywo, nikt go tutaj nie widział od poniedziałku. Ludzie jedzą jeszcze to, co zostało ze świąt, mają zamrożony chleb - mówił w mediach jeden z mieszkańców miejscowości.

Inny przyznał, że nie wychodził z domu przez trzy dni, ale w końcu musiał się przekopać i jechać odebrać siostrę ze szpitala.

Mieszkańcy Dylewka porównywali obecną zimą do lat 60. i 70., ale przyznawali: wtedy zasy bywały jeszcze wyższe. Nie narzekali.

Bo nie ma co narzekać, trzeba cieszyć się białym śniegiem. Nie wiadomo, ile spadnie go za rok. W dzielnicy, w której mieszkam, za łopaty chwytają nie tylko gospodarze osiedli, ale i właściciele domów jednorodzinnych. Agata pomaga mamie, która prowadzi mały osiedlowy sklep. Razem z mężem odśnieżają podwórko i chodnik przed posesją. Obok biega dwóch małych chłopców, to synowie Agaty.

- Antoś nie wchodzi w zasy, bo śnieg wpadnie ci do butów - to Agata.

- Mamo, mamo! Śnieg! - woła malec i kładzie się w zaspie. Za chwilę dołącza do niego brat. Tarzają się w białym puchu, biją śnieżkami, ślizgają na butach.

Agata macha ręką. Dzieciaki takiej zimy jeszcze nie przeżyły, więc niech szaleją!

*MOŻNA NAWET POWIEDZIEĆ,
ŻE W NASZYM KLIMACIE
MNIJSZE LUB WIĘKSZE
ZIMY STULECIA ZDARZAJĄ SIĘ CO
KILKA LUB KILKANAŚCIE LAT*

– Pokrywa śnieżna to świetna sprawa dla przyrody, wód gruntowych i uwilgotnienia gleby. Ale najważniejsze pytanie brzmi: kiedy i jak będzie topniał, bo od tego zależy zarówno ryzyko roztopów, jak i wiosenny zapas wody – mówi klimatolog Rafał Maszewski

Anita Czapryn

RAFAŁ MASZEWSKI: WYŻ ROSYJSKO-SKANDYNAWSKI MOŻE NAS JESZCZE TEJ ZIMY MOCNO ZMROZIĆ

Mamy zimę jak za dawnych lat, czy jednak coś ją odróżnia od dawniejszych zim? Meteorologiczna zima zaczęła się w grudniu, a grudeń był miesiącem cieplejszym od normy. Ochłodziło się dopiero pod koniec miesiąca, w trzeciej dekadzie; zima przyszła w święta i po świętach. Generalnie przez większą część grudnia nie było za bardzo zimowo, było dość ciepło. Teraz mamy mróz, miejscami sporo śniegu. To nie jest na razie żadna zima stulecia. Temperatura jest co prawda poniżej normy wieloletniej z okresu 1991-2020, zarówno w III dekadzie grudnia, jak i dotychczas w styczniu. Niektóre doby przyniosły temperaturę nawet 8-10 stopni poniżej normy. To wyraźna ujemna anomalia, która w tym naszym już cieplejszym klimacie nie zdarza się często. Zobaczymy, co będzie dalej, bo dopiero zbliżamy się do połowy zimy, a druga połowa jeszcze przed nami. Jeżeli ta druga część okaże się bardzo ciepła, to ta dotychczasowa zima pójdzie trochę w zapomnienie, ale na razie przekazamy. Jesteśmy też przed statystycznie najzimniejszym okresem roku, czyli III dekadą stycznia i początkiem lutego; wtedy średnio przypadają najniższe temperatury. Zobaczymy, jak będzie w tym roku, ale obecnie skłaniam się do dominacji przynajmniej do końca stycznia bardziej mroźnej zimy, do której przyczyni się wyż rosyjsko-skandynawski.

Media ogłaszają, że temperatury dochodzą do nawet minus 20 stopni i to nie w górach, tylko na nizinach,

na Warmii, na Pomorzu. Jak pan jako klimatolog patrzy na takie komunikaty? To sensacja czy ważny sygnał? Sensacja na pewno to nie jest. Gdyby to był październik albo kwiecień, to pewnie byłaby. Ale jest styczeń i temperatury rzędu kilkunastu stopni mrozu, nawet minus 20, w naszym klimacie, mimo że jest on cieplejszy, mogą się jak najbardziej zdarzać. Co kilka lat takie wartości mogą się pojawiać. Nawet minus 30 może się pojawić. W 2006 roku mieliśmy w Toruniu minus 32 stopnie, więc nie zdziwiłbym się, gdyby znów pojawiły się zbliżone wartości.

Ale to było jednak dwadzieścia lat temu.

To całkiem niedawno, patrząc na klimat. Wtedy też już się ocieplało, może nie w tak agresywnej formie jak teraz, ale jednak. Na pewno to jest anomalia, czyli temperatury poniżej normy, tej średniej z lat 1991-2020. Ale nie ma powodu robić z tego sensacji: jest styczeń, zima. Śnieg nawet 20-30 centymetrów i temperatura minus 15, minus 20 na nizinach są możliwe i po nizinach się zdarzają. Coraz rzadziej, to prawda, ale się zdarzają. My też się odzwyczailiśmy, bo od 2013 roku praktycznie większość zim była bardzo ciepła. Jakieś ataki mrozu się pojawiały, ale rzadko. I dlatego trudno nam to dziś przyjąć jako normalność.

Ostatnie zimy były bez śniegu, prawda?

Tak. W niektórych sezonach śniegu prawie nie było. W sezonie zimowym 2019/2020 w wielu miejscach Polski zachodniej/południowo-za-

chodniej nie pojawił się nawet jeden centymetr. Teraz miejscami na Warmii, Mazurach i wschodnim Pomorzu mamy 30-50 centymetrów śniegu, są zamiecie i zawieje śnieżne. To przypomina takie minizimy stulecia, jak je kiedyś pamiętamy. Ale to nadal nie jest wielka sensacja; u nas to jest możliwe. Jeśli ktoś uwierzył niektórym politykom czy komukolwiek innemu, że zim już nie będzie, że śniegu już nie będzie, a rosnące palmy to kwestia niedalekiej przyszłości, to teraz widzi, że to nieprawda. Prawdą jest, że mroźnych i śnieżnych zim jest coraz mniej.

Skąd ta zima się wzięła? Co było jej silnikiem: wyże, niże, napływy powietrza? I czy nie upraszczamy, mówiąc po prostu: nadeszła zima?

W naszym kraju główny czynnik to cyrkulacja atmosferyczna. W chłodnym okresie roku ona ma największy wpływ, bo tak jesteśmy położeń. W zimie, gdy wieje z południa czy z zachodu, zwykle mamy wyższe temperatury, takie bardziej jak w Wielkiej Brytanii. Natomiast gdy powieje z północy albo ze wschodu, to w tym chłodnym okresie, od listopada do marca, bardzo często pojawia się mróz, śnieg i zima w klasycznym wymiarze. Większość poprzednich

zim charakteryzowała się cyrkulacją zachodnią: niże znad Atlantyku atakowały Europę, nasuwały się nad Skandynawię i Europę Środkową, a z zachodu i południowego zachodu kierowały do nas stosunkowo ciepłe, wilgotne masy powietrza polarnego, a nawet zwrotnikowego znad Atlantyku. Zimne powietrze było blokowane daleko na północy, nad Azją, nie miało szans się u nas zadomowić, bo Atlantyk był aktywny, wir polarny silny. Dodatkowo, co istotne, nie było wyżu, który zatrzymałby te niże, wyżu nad Skandynawią czy nad Rosją. A takie wyże często przynoszą mroźne masy powietrza. Moje badania nad cyrkulacją atmosferyczną wskazują, że w okresie zimy słabnie mroźna cyrkulacja wschodnia, a wzmacnia się łagodna termicznie zachodnia. W tym roku jest inaczej i tej zimy jest inaczej, bo pojawia się wyż rosyjsko-skandynawski i może on nas jeszcze tej zimy mocno zmrozić... „Atlantyk” jest spokojniejszy. Na północno-wschodnim Oceanie Atlantyckim częściej rozbudowują się wyże, czyli tam, gdzie o tej porze roku najczęściej powinny być niże. Nawet jeśli znad Atlantyku przebiją się w naszym kierunku niże, to są one blokowane przez wspomniany wyż na wscho-

dzie Europy. Cyrkulacja jest w 2025 i na początku 2026 r. nieco inna, preferująca niższe temperatury. Zresztą rok 2025 był inny pod względem pogody. Był chłodniejszy od 2024 roku, który z kolei był rekordowo ciepły. Mimo to rok 2025 i tak był cieplejszy od normy...

Czytałam, że klimatolodzy mówią tu o blokadzie, czyli pogodzie, która stoi w miejscu.

O blokadzie możemy mówić właśnie na Atlantyku i okresami na wschodzie Europy. Ten wyż blokuje niże, które kiedyś sunęły nad Europę, przynosząc ciepło i deszcz. Taka blokada wyżowa bywa długotrwała. I wtedy zależnie od tego, po której stronie układu jesteśmy, możemy znaleźć się w cieplejszym albo chłodniejszym powietrzu. Zresztą nie tylko u nas się ochłodziło. To są sytuacje, które zdarzają się co kilka/kilkanaście lat: lata, kiedy...

... kiedy Polska znalazła się po właściwej stronie tego układu?

Można tak powiedzieć, chociaż każdy ma subiektywne odczucia i preferuje ciepłe odczucia i preferuje ciepłe atlantyckie zimy lub bardziej skandynawskie. W tym roku niże znad Atlantyku trudniej do nas dochodzą, stąd cieplego powietrza jest mniej. Na najbliższe kilka dni cieplejsze powietrze może się pojawić, przynajmniej do piątku/soboty, bo niż z zachodu trochę się zbliży i je do nas skieruje. Ale cały czas podkreślam: ta zima przebiega przy innej cyrkulacji. W prognozach długoterminowych nadal umacnia się wyż nad Rosją i nad Skandynawią. Zobaczymy, co z tego

wyniknie, ale jest coraz bardziej prawdopodobne, że najmroźniejszy okres zimy jest jeszcze przed nami.

To zawsze taki moment, kiedy trudno wytłumaczyć czytelnikom, którzy mówią: „No dobrze, a gdzie to ocieplenie, skoro mamy mróz?” Po pierwsze: wiele osób, czasem celowo, a czasem z niewiedzy, myli pogodę z klimatem.

Jak wytłumaczyć różnicę między pogodą a klimatem?

Kiedy rozmawiamy o tej zimy, mówimy o pogodzie: w tym sezonie częściej napływa zimne powietrze, więc dominuje bardziej zimowy typ aury. Wyjątek, jak wcześniej wspomniałem, stanowiły dwie pierwsze dekady grudnia. Pogoda to chwilowy stan atmosfery: jest ciepło, pada, jest burza, słońce, mróz; to tu i teraz. Natomiast klimat, czyli warunki klimatyczne, to uśrednione warunki pogodowe w długim czasie. Najczęściej przyjmuje się co najmniej 30 lat, a im dłuższa perspektywa, tym lepiej: 100 czy 120 lat daje spójniejszy obraz. Jeśli spojrzymy na ostatnie trzydzieści zim, zobaczymy wyraźnie, że średnia temperatura rośnie, śniegu jest coraz mniej i ten trend się nie zatrzymuje. Owszem, co kilka, kilkanaście lat trafiają się zimy mroźniejsze: można wskazać 2001 rok, potem 2006, 2010, 2011, 2012, a wcześniej 1995 i 1996. Tyle że zim ciepłych jest dziś dużo więcej niż chłodnych. Ta zima może się okazać chłodniejsza, ale wciąż nie mamy pewności, jak będzie wyglądała jej druga część, a zwłaszcza luty.

*CORAZ RZADZIEJ ZDARZAJĄ
ŚNIEŻNE ZIMY. MY TEŻ SIĘ
ODZWYCZAILIŚMY, BO OD 2013
ROKU PRAKTYCZNIE WIĘKSZOŚĆ
ZIM BYŁA BARDZO CIEPŁA*



FOT. PAP/DAREK DELMANOWICZ

Rafał Maszewski: Gdy napływa zimne powietrze z północy, sprzyja to obfitym opadom śniegu na północy Polski, bo cieplejsza woda oznacza większe parowanie

Kiedy klimat się ociepla, rośnie prawdopodobieństwo ekstremów pogodowych. Czy tę zimę też można uznać za takie ekstremum, może rzadsze, ale mocniejsze?

Zgadza się. Ocieplenie zwiększa prawdopodobieństwo różnych ekstremalnych zdarzeń pogodowych. Zmienia się pole temperatury, w Arktyce jest mniej lodu, maleje różnica temperatur, między obszarami zwrotnikowymi a polarnymi, a prąd strumieniowy zwalnia i bardziej meandruje, wygina się w jednym miejscu daleko na południe, a w innym na północ, spychając zimne powietrze na południe, a wypychając ciepłe do Arktyki. To dzieje się coraz częściej i w ocieplającym się świecie nie jest niczym nadzwyczajnym, choć bywa trudne do zrozumienia: że podczas ocieplenia klimatu w miejscach, gdzie nie spodziewamy się mroźnej i śnieżnej zimy, taka się pojawia. Natomiast to, co mamy teraz, wygląda na normalny epizod zimowy. Na razie nie ma tu nic szczególnie nadzwyczajnego. Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden element: wody Bałtyku są cieplejsze niż dawniej. Gdy napływa zimne powietrze z północy, sprzyja to obfitym opadom śniegu na północy Polski, bo cieplejsza woda oznacza większe parowanie.

O Bałtyk jeszcze zapytam, ale najpierw: co dobrego robi dla nas śnieg i mróz? Za-

cznijmy od śniegu. Pamiętam rozmowę z panem wiosną, gdy susza była wiązana m.in. z brakiem pokrywy śnieżnej. Czy ten dzisiejszy śnieg może być magazynem wody na wiosnę? I czy może przy szybkich odwilżach stać się zagrożeniem powodziowym?

Pokrywa śnieżna w naszym klimacie to świetna sprawa dla przyrody, wód gruntowych i uwilgotnienia gleby. Śnieg, topniejąc spokojnie, nawadnia glebę, szczególnie dobrze, jeśli grunt nie jest mocno przemarznięty. Obecnie miejscami ziemia jest mocniej zamrznięta, miejscami, tam gdzie dłużej leży śnieg, znacznie mniej i to w tych miejscach gleba i wody gruntowe najwięcej zyskają. Jest też ważna dla oziminy i roślin: już około 10 centymetrów śniegu skutecznie chroni przed wymarzaniem.

Czyli śnieg działa jak koldra?

Tak. To zamrznięta woda, a pomiędzy płatkami śniegu mamy też powietrze, więc izoluje i ogranicza wymrażanie. Gleba przemarza słabiej, a wtedy może wsiąknąć więcej wody z roztopów. Istotne pytanie brzmi jednak, jak i kiedy ten śnieg będzie topniał. Jeśli stopnieje szybko za tydzień czy dwa i wszystko zdąży spłynąć do końca lutego, efekt magazynu będzie mniejszy. Wody gruntowe trochę przybędzie, ale najlepiej byłoby, gdyby topnienie

rozłożyło się tak, by wilgoć została na marzec i kwiecień. Nie wiemy też, czy pojawi się powódź roztopowa, której dawno nie było, ponieważ wcześniej nie było składowania kilku czynników.

Czyli dziś liczy się nie tylko to, ile spadnie śniegu, ale i jak stopnieje?

Dokładnie. Jeśli śnieg zacznie topnieć przy wysokiej temperaturze i opadach deszczu, bez nocnych przymrozków, wzrosty stanów wód mogą być znaczne. Jeśli jednak topnienie będzie dzienne, a nocą wrócą przymrozki, przy słabszej pogodzie i bez większych opadów, proces będzie spokojniejszy, rozłożony w czasie. Może być też tak, że będzie kilka krótkotrwałych odwilży przeplatanych okresami mrozu, wówczas spływ wód roztopowych będzie rozłożony w czasie. Zwróciłbym też uwagę na zjawiska lodowe na rzekach, już dość zaawansowane, zwłaszcza w dorzeczu Wisły, ale miejscami także na dolnej Odrze. Przy roztopach, gdy rzeka jest zalodzona, dochodzi ryzyko zatorów i powodzi zatorowych, zarówno przy tworzeniu się zlodzenia, jak i podczas jego zaniku. W cieplejszych zimach te problemy często w ogóle się nie pojawiały. Jeśli teraz na kilka dni zrobi się cieplej, potem wróci mróz i znów dopada śniegu, sporo wody zgromadzi się w zlewniach rzek. Luty i marzec mogą być pod tym

względem różne. Na razie jednak w rzekach mamy bardzo mało wody, dominują stany niskie, więc jest gdzie tę wodę przyjąć. Stany wysokie pojawiają się, ale głównie z powodu tworzenia się pokrywy lodowej i blokowania przepływu przez lód. Zdecydowanie za wcześnie, by mówić o ewentualnej powodzi i jej skali.

Słyszę też takie przekonania: „Mróz wymrozi wirusy”, „Wymrozi komary”, „Będzie mniej szkodników”. Czy dłuższy mróz i śnieg naprawdę pomagają ograniczyć szkodniki?

Nie jestem wirusologiem, ale ogólnie wiadomo, że wirusy dobrze czują się w niskiej temperaturze, więc mróz nie stanowi dla nich problemu, a nawet może sprzyjać. Co innego bakterie: one w mrozie mają trudniej. Z komarami to też nie działa tak prosto. Gdybyśmy mieli zimę naprawdę potężną, nietypową jak na nasze warunki, z bardzo silnymi, długimi mrozami, wtedy można by oczekiwać większego ograniczenia m.in. liczebności owadów. Ale przy normalnej zimie, a zwłaszcza gdy jest śnieg, on w znacznym stopniu chroni wszelkie formy życia. Proszę pamiętać: na Syberii komarów i innych owadów jest mnóstwo, a jakie tam są temperatury! Przyroda potrafi się do takich przeciętnych, jak obecnie, warunków przystosować.

Przyroda jest do takich warunków przygotowana; większe zaskoczenie te warunki stanowią dla kierowców. Zwierzęta mogą mieć trudniej, ale nie dzieje się nic spektakularnego, co pozwalałoby powiedzieć, że masowo zmniejszyło ich liczebność. Zobaczymy jednak co przyniesie dalsza część zimy, bo może ona się jeszcze zaostrzyć.

Chciałabym wrócić do tego, co dzieje się na Pomorzu, nad Bałtykiem, bo najstarsi rybacy mówią, że takiej zimy nie pamiętają. Co musiało się wydarzyć nad morzem, żeby sypało tak konkretnie, żeby były zamiecie i śnieżyce właśnie w Pomorskiem?

Potrzebny jest dość specyficzny układ wyżów i niżów nad europejskim obszarem synoptycznym. Najlepiej, gdy centrum niżu ustabilizuje się na północny wschód od Polski, w rejonie Litwy, Łotwy, Estonii, zachodniej Rosji, a jednocześnie wyż rozlokowany jest na Atlantyku u zachodnich wybrzeży Europy. Wtedy z północy, praktycznie prosto z Arktyki, spływa do nas zimne powietrze, które „przelatuje” nad stosunkowo „ciepłymi” wodami Bałtyku, pobiera parę wodną, która skrapla się, zwłaszcza podczas początkowej fazy przepływu nad zimnym łodem, powoduje silne opady śniegu pochodzenia konwekcyjnego na północy Polski. Zimne powietrze napływające nad cieplejszą wodę sprawia, że wilgotne powietrze gwałtownie się unosi, woda intensywnie paruje, tworzą się chmury i opad. Ten proces potrafi się jeszcze wzmocnić, gdy chmury i wilgotne powietrze wślizguje się nad lokalne wzniesienia na Pomorzu czy na Warmii: powietrze zaczyna się tam silnie unosić i zwiększa się skraplanie pary wodnej - czasem w takiej sytuacji pojawiają się nawet burze śnieżne. Można powiedzieć, że spada nam na głowę woda, która wcześniej odparowała z Bałtyku. To trochę przypomina sytuacje znane z rejonu Morza Śródziemnego: gdy zimne powietrze napływa nad rozgrzane wody, powstają głębokie układy niżowe, które potrafią przynieść bardzo intensywne opady i powodzie. Również w rejonie Wielkich Jezior w Stanach Zjednoczonych mamy tzw. efekt jeziora, podobny jak na polskim Wybrzeżu

A czy temperatura wody w Bałtyku i obecność lodu wpływają na przebieg zimy w pasie nadmorskim? Tak. Z jednej strony: im cieplejsza woda zimą, tym

przy napływie mroźnego powietrza opady śniegu mogą być potężniejsze. Gdy woda jest chłodniejsza, potencjał do tak intensywnych opadów jest nieco mniejszy. Z drugiej strony Bałtyk w chłodnej porze roku zwykle działa na wybrzeże ocieplająco; nad morzem rzadziej utrzymują się ujemne temperatury, a mrozy nie są tak silne jak np. na Pomorzu.

Wyobraźmy sobie Polskę za dwadzieścia-trzydzieści lat. Za czym będziemy tęsknić? Za śniegiem? Czy bardziej za stabilną pogodą?

Jeśli trendy się utrzymają, a modele to sugerują, podobnie jak moje badania cyrkulacji atmosferycznej: zimą pewnie będziemy tęsknić za śniegiem, za nartami, za malowniczym przymrozkiem, za normalną zimą. Już dziś bywa, że tęsknimy za śniegiem w święta albo podczas ferii, w tym roku mniej, ale w poprzednich latach bardzo często. A od wiosny do jesieni, coraz częściej możemy tęsknić za wodą, za opadami. Susza może nas dotyczyć częściej i być jeszcze bardziej dotkliwa niż współcześnie. I jeszcze jedno: jeśli fale upałów będą dłuższe i bardziej intensywne, to będziemy też tęsknić za chłodniejszymi latami np. takimi jak ubiegłoroczne, kiedy dni upalnych było wyraźnie mniej. Czyli możliwe, że nasze tęsknoty się rozdziela: zimą za śniegiem, a w ciepłej połowie roku za deszczem, burzą i temperaturą bardziej sprzyjającą, w okolicach 20-25 stopni. Jeśli oczywiście te trendy zmian w pogodzie się utrzymają i np. nie ulegnie zaburzeniu cyrkulacja prądów morskich w północnej części Oceanu Atlantyckiego.

CV



FOT. AUTOR

Dr Rafał Maszewski

Klimatolog. Autor i pomysłodawca czasopisma elektronicznego pogodatorunium.pl, gdzie można przeczytać analizy dotyczące pogody w całej Polsce. Absolwent geografii (specjalizacja klimat i ochrona klimatu) na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Popularyzuje naukę o pogodzie i klimacie w mediach.

DAM PRACĘ TOKARCE I TOKARZOWI

Od kilku tygodni każde ogłoszenie o pracy musi być neutralne płciowo. W praktyce jest zabawnie, rekruterzy ćwiczą więc językowe wygibasy

Małgorzata Oberlan

To standard XXI wieku czy „lewackie dyrdymały”? Neutralność płciowa w ogłoszeniach rekrutacyjnych to skutek implementacji przez Polskę kolejnej unijnej dyrektywy i nowelizacji Kodeksu pracy. Weszła w życie 24 grudnia 2025 roku.

Od Wigilii (co może i znamienne - pierwszy raz była dniem wolnym od pracy) w anonsie rekrutacyjnym nie wolno nikogo w przedbiegach zniechęcać do aplikacji z uwagi na płeć (czytaj: dyskryminować). Koniec z „paniami sprzątaczkami”, bo takie określanie wyklucza panów. Koniec z „sekretnymi medycznymi”, a może nawet „betoniarzami” (powinny być też „betoniarki”).

Jak sytuacja wygląda dziś w praktyce? Momentami naprawdę zabawnie, bo widać, jak rekruterzy gimnastykują się językowo. Problem bowiem w tym, że resort pracy przy okazji nowelizacji żadnych twardej wytycznych nie dał. Nie ma katalogu poprawnych i neutralnych płciowo nazw zawodów - są tylko ogólne wskazówki podane w ministerialnej interpretacji.

Nowe prawo w praktyce, czyli „sprzątaczkę” zatrudnię

13 stycznia, czyli trzy tygodnie od wejścia nowych przepisów w życie, przeglądaliśmy lokalne ogłoszenia rekrutacyjne na popularnym portalu OLX. Widać, kto zdążył przyswoić zasady, a kto jeszcze śpi.

„Sprzątaczkę/sprzątacza” - ogłasza w dziale „zatrudnię” globalny koncern, czyli Toruńskie Zakłady Materiałów Opatrunkowych. Tak brzmi tytuł ogłoszenia. W jego treści firma pisze, że „obecnie poszukuje odpowiedniej osoby na stanowisko sprzątaczkę (k/m)” - koncern wybrał więc z opresji całkiem nieźle.

„Osoba sprząająca i osoba do wydawania posiłków i sprzątania w szkole” - tak z kolei tytułuje poszukiwanego pracownika Toruńskie Towarzystwo Salezjańskie prowadzące szkołę. Dla jasności: szuka dwóch osób.

„Pracownika/Pracowniczkę ds. Utrzymania Czystości” pragnie natomiast zatrudnić spółka Media System (cytat wierny, wraz z wielkimi literami). Zapachniało poezją ogłoszeń rekrutacyjnych...

„Panów do sprzątania, koszenia i brygadzystę” - ogłasza z kolei (grzesząc!) lokalna firma oferująca pracę przy ul. Kocięskiej i Skłodowskiej-Curie w Toruniu. Dopiero dalej się reflektuje i już w treści anonsu mowa jest o tym, że „zatrudni pana lub panią”.

Sporo firm wybrało rozwiązanie opisowe. Ogłasza teraz po prostu, że „do sprzątania zatrudni”. Podobnie zresztą bywa z innymi pracami. „Do pracy w restauracji”, „Do spawania”, „Do obsługi kasy i lady chłodniczej” - takie bezpieczne nagłówki nosi teraz coraz więcej anonsów. Bezpiecznie, ale czasem językowo dość kulawo, a do tego nieprecyzyjnie dla kandydatów do pracy.

Zamieszanie w działach HR

W firmowych działach HR lekki popłoch i zamieszanie. Jedni mieli szkolenia przed nowelizacją przepisów, tym bardziej że objęły też np. jawność wynagrodzeń i inne kwestie. Inni puszczeni zostali kolejny raz na głęboką wodę. I pływają jak potrafią. Wertują słowniki (internetowe), pytają, co robić, AI (jakże zawodną czasami), podglądają innych. Wielu się wkurza „na te głupoty”, ale oficjalnie komentować nie chce.

- Trzeba zaznaczyć, że obecnie nie ma jednoznacznych wytycznych, jak dokładnie powinny brzmieć nazwy stanowisk w świetle nowych przepisów. W praktyce oznacza to, że pracodawcy muszą samodzielnie wypracować rozwiązania, które są zgodne z prawem i jednocześnie czytelne dla kandydatów - mówi Izabela Suchorzyńska, dyrektor działu marketingu w spółce Nova Trading.

To akurat bardzo duża spółka, znana nie tylko w kraju. Tutaj przygotowali się do zmian z wyprzedzeniem i oporów do komentowania tematu nie mają. - Nowe ogłoszenia o pracę przygotowujemy zgod-

nie z przepisami obowiązującymi od 24 grudnia 2025 roku, w tym z wymogiem neutralności płciowej właśnie. Dlatego stosujemy zapisy w formie „Pani/Pan”, np. „Pani/Pan spawacz-słusarz”, „Pani/Pan inżynier spawalnik”, „Pani/Pan technolog programista CNC” - dodaje Izabela Suchorzyńska.

NSZZ „Solidarność”: Są ważniejsze problemy. To lewackie dyrdymały

Zarząd toruńsko-włocławskiego oddziału NSZZ „Solidarność” suchej nitki na nowych przepisach nie zostawia. I to w oficjalnym komunikacie pt. „Głupia nowelizacja obowiązuje” i hasłem „Lewackie dyrdymały o płci i zawodzie”.

A co, jeżeli pracodawca będzie poszukiwał osobę o konkretnej płci, ponieważ facetów

JĘZYKOZNAWCY ZWRACALI UWAGĘ, ŻE BRAK JEDNOZNACZNEJ KLASYFIKACJI ZAWODÓW I WZORCÓW SPOWODUJE CHAOS, A W KONSEKWENCJI SPORY

nie ma w zawodzie, lub - zwyczajnie - nie powinni go pełnić ze względów np. kulturowych, obyczajowych, a nawet prawnych? A co z normami BHP? Np. dźwiganie ciężarów są różne dla płci i w magazynie może z tym być problem nie do przejścia - zwracają uwagę związkowcy.

W swoim komentarzu do zmiany przepisów piszą też o bezrefleksyjnym „przeklejaniu słów z unijnej regulacji”

oraz o tym, że w Polsce naprawdę rynek pracy ma poważniejsze problemy.

„Zamiast rozwiązywać prawdziwe kwestie rynku pracy, tworzy się kolejne absurd, niejasności interpretacyjne i ryzyko kar dla pracodawców. Wszystko po to, by spełnić ideologiczne postulaty, które nie mają solidnego oparcia w logice obowiązującego systemu. Obowiązek »neutralizowania« języka to sztuczny konstrukt ode-

rwany od praktyki i zdrowego rozsądku, będący wyłącznie projektem lewackich środowisk” - podsumowuje regionalny zarząd Solidarności.

Pani Iwona biura sprząta.

- Facetów u nas brak

A co o nowych przepisach myśli lud pracujący miast i wsi? Czy w ogóle o nich myśli? Błędnie zakładam, że nie, i ma je raczej w nosie. Zaskakuje mnie na przykład pani Iwona, kolejna już rok sprząająca firmowe biura i urzędowe pokoje. Gdy tylko zagajam, okazuje się, że żadnych wstępów objaśniających sytuację nie potrzeba.

- Aaaa, wiem, o co chodzi. Nie wolno już w ogłoszeniach pracy dyskryminować ze względu na płeć - mówi od razu trzydziestolatka, wyłączając maszynę sprząającą. - Co ja o tym sądzę? Słusznie! No bo z jednej strony, jak tutaj już kolejny rok pracuję, to sprząają same kobiety. Facetów do tej roboty u nas brak. Z drugiej strony jednak mój mąż mechanik zna kobiety mechaników. To wyjątki w tym męskim fachu, ale są. I to pokazuje, że nie powinno się jednak z góry nikogo wykluczać przy rekrutacji.

Dalej sobie z panią Iwoną już tylko śmieszkujemy nieco z „panów sprząających biura” i ich zapewne przemownej chęci podejmowania się takiej pracy oraz niekwestionowanych umiejętności. Szczegółów nie zdradzimy, tak na wszelki wypadek. Czort wie, czy jeszcze tak niepoprawnie śmieszkować można...

Inspekcja pracy karać nie będzie, a w czerwcu kolejne zmiany!

Co grozi rekrutującym za naruszenie neutralności płciowej w ogłoszeniach? Na razie drzeć przed mandatami czy grzywnami nie muszą.

Jak wyjaśniał główny inspektor pracy Marcin Stanecki, Państwowa Inspekcja Pracy nie ma prawa nakładać kar za takie „niepoprawne” ogłoszenia. Nie oznacza to jednak, że pracodawca publikujący dyskryminujące treści nie musi liczyć się z jakąkolwiek odpowiedzialnością za takie ogłoszenia.

Kandydatka bądź kandydat aplikujący na wolne stanowisko pracy, którzy poczuć się nierówno traktowani treścią ogłoszenia o pracę lub dyskryminowani w trakcie naboru (rekrutacji), mogą złożyć pozew o odszkodowanie. Sąd pracy może przyznać takiej osobie rekompensatę w kwocie nie niższej niż minimalne wynagrodzenie za pracę, które w tym roku wynosi już 4806 zł brutto.

Jeśli natomiast ktoś zgłosi PIP naruszające równość płci ogłoszenie o pracę, wówczas inspektor je zbada i w razie stwierdzenia nieprawidłowości może wezwać pracodawcę do zmiany anonsu (to tzw. niewiążące wystąpienie) albo nawet wydać po-tem takie polecenie.



Takie ogłoszenia (oferta nieaktualna!) to wytrych - poszukiwanie pracowników jest dosyć neutralne płciowo. Jednak może powinny być też „pracowniczi”?

FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

„GÓRA ŚMIERCI”. MAKABRYCZNA HODOWLA POD LASEM

Kiedy w czwartek wieczorem 8 stycznia do hodowli psów rasowych pod Bolimowem niedaleko Skierniewic wkroczyła policja, funkcjonariuszom ukazał się przerażający widok. Szczątki 16 martwych psów, inne zagłodzone, pozamykane w klatkach. I potworny odór. – Z tak tragiczną sytuacją zwierząt nie spotkałem się nigdy w mojej ponad 20-letniej pracy lekarza weterynarii – mówi Piotr Cymerski, Powiatowy Lekarz Weterynarii w Skierniewicach.

Natalia Zwolińska

O psach przebywających na jednej z posesji w koszmarnych warunkach zawiadomiła policję fundacja zajmująca się pomocą zwierzętom.

Słowo „koszmarnych” nie do końca oddaje rzeczywistość. – W domku holenderskim, w którym przetrzymywane były psy nie można było wytrzymać dłużej niż kilka minut. Wszystko przez silny zapach odchodów zwierząt i moczu, który uniemożliwiał oddychanie. Psy przetrzymywane były w transporterach ustawionych jeden na drugim. Swoje potrzeby załatwiali właśnie tam, bez możliwości wyjścia. Całe były oblepione własnymi odchodami i moczem – mówi Piotr Cymerski, Powiatowy Lekarz Weterynarii w Skierniewicach.

Najgorszy widok dopiero jednak na niego czekał.

– W szopie znaleziono 16 martwych psów. Przyczyna ich śmierci zostanie ustalona w sekcji zwłok. Najbardziej przerażający był sposób potraktowania ciał zwierząt, które przecież właściciele przynosiły dochód. Była z nich ułożona „góra śmierci”. Kolejne zwłoki narzucano na wcześniejsze. Ciężko jest określić, kiedy nastąpiły zgony zwierząt, ale widać było, że niektóre leżały już dłuższy czas. Część z ciał była rozczłonkowana, inne nosiły ślady nadjeżdżenia. Proszę mi wierzyć, że chyba nikt z nas nigdy z takim czymś się nie spotkał – dodaje wzruszony lekarz.

Tylko skóra i kości

Kilkadziesiąt zwierząt, które zostały odebrane żywe jest poddawanych cały czas badaniom. Na miejscu nie było możliwości przeprowadzenia jakichkolwiek badań ze względu na ilość zwierząt oraz potworny odór odchodów, w których przetrzymywane były psy.

Podczas badania jednego z owczarków australijskich okazało się, że jego waga to 5,4 kilograma, podczas gdy powinna wynosić od 18 do 20 kg. U suki wykryto obustronne zapalenie

pluc, guzy listwy mlecznej, problemy neurologiczne, ogromne wyniszczenie organizmu oraz zaniki mięśniowe. U owczarka zaniknęły nawet mięśnie skroniowe, na szyi i na łopatkach zaniknęły również wszystkie mięśnie – została sama skóra i kości.

Również bernardyny są skrajnie zaniedbane.

„Widziałeś kiedyś 28-kilogramowego bernardyna? Tego obrazu nie da się wyrzucić z głowy. Bernardyn, pies który powinien ważyć grubo ponad 60 kg, stoi przed Wami jak cień samego siebie. Ponad 30 kg niedowagi. Wyniszczenie całego organizmu, zapadnięte boki, brak mięśni, brak sił. Psy, które rzucają się na jedzenie, jakby każdy kolejny kęs mógł być tym ostatnim w życiu” – czytamy na profilu Fundacji dla Szczęściąt Judyta.

Hodowla pod lasem

Mieszkańcy Woli Szydłowieckiej wiedzieli, że daleko od wsi, pod lasem, znajduje się hodowla. Jednak właścicielka nie miała kontaktu z mieszkańcami, a nawet z sołtyską. Kiedy ta przywozła zawiadomienie o podatku, nikt nie otworzył jej bramy.

– Ta hodowla była pod samym lasem. Czasami przejeżdżałam z dziećmi rowerem obok lub przechodziłam idąc na spacer. Zawsze prosiłam dzieci o ciszę, bo jak jeden pies zaczął szczekać, to nagle wszystkie zaczynały. A ja boję się psów. Zwierzęta było słychać, ale nie można ich było zobaczyć z bliska, bo znajdowały się w kojach daleko od płotu. Zawsze widać było pojemniki po mięsie i słome, to każdemu się wydawało, że są zadbane. Chyba każdy wiedział, że „pod lasem” jest hodowla, ale nikt się nie spodziewał, że osoba która zawodowo zajmuje się hodowlą zwierząt może je doprowadzić do takiego stanu – mówi Małgorzata Dylewska, sołtyska Woli Szydłowieckiej.

Psy w hodowli nie miały dostępu do wody, a ich pokarm stanowiły odpady mięsne. Przez całe dni przetrzymywane były w transporterach ustawionych jeden na drugim. Swoje potrzeby



W takich warunkach, w transporterach ustawionych jeden na drugim w domu holenderskim, były przetrzymywane psy. Całe były oblepione własnymi odchodami i moczem

fizjologiczne załatwiali tam gdzie spały, a na dwór wychodziły zaledwie co kilka dni.

Każdy właściciel psa, który musi pożegnać się ze swoim pupilem, wie że to ciężkie przeżycie. Wielu właścicieli dokonuje „pochówku” swojego przyjaciela, inni decydują się na kremację lub oddanie do specjalnej firmy. Właścicielka hodowli miała zupełnie inny sposób „pozbywania się zwłok”. Trzymała je w pomieszczeniu.

Co wie Związek Kynologiczny w Polsce?

Udało nam się dotrzeć do hodowcy, który został wyrzucony

nie spodobało – mówi Przemysław Szoplewski z Hodowli Owczarków Niemieckich Długowłosych.

Dodaje, że prowadzi ze Związkiem batalię sądową, która ma zakończyć się pod koniec stycznia. Już zapadł wyrok o niesłusznym wykreśleniu z ZKwP oraz nakazujący ponowny wpis. Wyrok nie został wykonany.

– Kiedy ponad 4 lata temu zacząłem informować władze związku o tym jak układ w ZKwP FCI działa na niekorzyść dobrostanu zwierząt, nikt nie chciał mnie słuchać. Mówiłem o hodowlach zarejestrowanych pod innymi adresami, o oszustwach przy prześwietleniach wśród owczarków niemieckich, oraz oszustwach przy egzaminach prób pracy w rasie owczarek niemieckiej. Informowałem o psach zamkniętych całymi dniami w przyczepach w hodowli jednego z sędziów. To wszystko nie tylko spuszczone do ścieku, ale postanowiono zrobić ze mnie oszusta, wariata – mówi nam Szoplewski.

Co na to ZKwP? Czy złe traktowanie zwierząt było „zamiatane pod dywan”? Czy w ogóle ktokolwiek sprawował jakąkolwiek kontrolę nad zarejestrowanym w związku hodowlami? Te właśnie pytania wysłaliśmy do Związku Kynologicznego w Polsce – Oddział w Gdyni, gdzie zarejestrowana była podskierniewicka hodowla. Ponieważ nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi z gdyńskiego oddziału, te same pytania wysłaliśmy do Zarządu Głównego Związku Kynologicznego w Polsce. Zostaliśmy poinformowani, że uzyskamy odpowiedzi, jednak do momentu składania gazety ich nie otrzymaliśmy.

Tymczasem przedstawiciele zarządu złożyli pismo do Urzędu Miasta i Gminy Bolimów. Zobowiązują się w nim do niesienia pomocy psom, które zostały odebrane z hodowli prowadzonej na terenie gminy Bolimów.

Dodatkowo władze ZKwP zobowiązują się do objęcia najbardziej potrzebujących psów specjalistyczną opieką weterynaryjną. ZKwP zaoferowało możli-

wość umieszczania takich zwierząt w Uniwersyteckim Centrum Medycyny Weterynaryjnej w Poznaniu, gdzie mogą uzyskać pełną diagnostykę i kompleksowe leczenie. Koszty leczenia zwierząt ma pokryć Związek.

Związek Kynologiczny w Polsce złożył na piśmie oświadczenie pełnej gotowości do współpracy ze wszystkimi właściwymi organami, w tym również z organami ścigania. Dodatkowo zadeklarowano również pomoc w zapewnieniu domów tymczasowych i stałych dla wszystkich psów odebranych z hodowli. Ma to być realizowane we współpracy ze strukturami ZKwP oraz osobami gotowymi do przyjęcia zwierząt pod opiekę.

Znikająca hodowla

Sprawą zajmuje się Wydział do spraw Walki z Przestępczością Gospodarczą i Korupcją Komendy Miejskiej Policji w Skierniewicach. Do tej pory nikt nie został zatrzymany i nikt nie usłyszał zarzutów.

– Policjanci cały czas analizują zebrany na miejscu materiał dowodowy. Przesłuchiwanie są kolejni świadkowie. Czekaemy również na opinię biegłego lekarza weterynarii – mówi młodszy aspirant Aneta Placek, oficer prasowy Komendanta Miejskiej Policji w Skierniewicach.

Na tym jednak nie koniec. Okazuje się, że wśród odebranych zwierząt znalazły się psy, które przebywały tam w „hotelu”. Właścicielka, również członkini ZKwP, próbuje je teraz odebrać. Czy wiedziała w jakich warunkach będą przebywać jej wystawowe zwierzęta? Próbowaliśmy się z nią skontaktować, ale bez skutku. Z mediów społecznościowych zniknęła większość postów hodowczyni, której psy znajdowały się w „hotelu”.

Hodowla Nescaland, z której odebrano psy zniknęła z mediów społecznościowych. Nie znajdziemy tam również właścicielki psów. Wyszukując stronę internetową hodowli dowiadujemy się, że „ta witryna jest nieosiągalna”.

Nazwa miała być krótka, łatwa do zapamiętania, miała brzmieć dobrze i mile dla ucha. - I taka jest. Wcześniej nazywaaliśmy się Ertrob, anagram imienia Robert - nazwa za trudna, zbyt twarda. Rok po zmianie nazwy okazało się, że maskotką olimpiady w Hiszpanii będzie stwór o imieniu Cobi, ale to my byliśmy pierwsi - zaznacza Robert Podleś.

Burzliwa droga od flipperów do klocków

Wujek prowadził warsztat samochodowy, specjalizował się w naprawie trabantów. Nawet w schyłkowym PRL władza na „prywatną inicjatywę” patrzyła kusem wzrokiem, ale nie spełnia dwudziestoletni Robert z początkiem lat 80. wymarzył sobie, że też będzie prowadził warsztat samochodowy, bo życiowej „małej stabilizacji” na etacie sobie nie wyobrażał.

Zaczął do wycieczek kolejowych: nocą wsiadał w Kutnie do pociągu, który z Budapesztu zmierzał do Warszawy, tu skupował od podróżnych to, co nabyli w relatywnie bogatej wówczas Hungarii, z niedostępnym w Polsce towarem pędził do budek na warszawskim bazarze, gdzie towar zostawiał, a po wszystkim - do szkoły, z lekkim zazwyczaj spóźnieniem. To wciąż było za mało, by skompletować kapitał na wymarzony warsztat samochodowy, więc ruszył „na saksy” do Szwecji. Za zarobione tu pieniądze kupił na miejscu swój pierwszy automat do gier zręcznościowych, ledwie za 5-10 proc. jego pierwotnej wartości. To był absolutny impuls, tego w planach nie było. Rozłożył mocno wysłużony i zdezelowany sprzęt, zapakował do równie mocno wysłużonego i zdezelowanego „malucha”, którym przyjechał, wrócił do Polski, tu reanimował, potem kupował kolejne, które też poddawał technicznemu zmartwychwstaniu. Skompletował takich tuzin - część pracowała dla niego w lokalach, reszta zarabiała na siebie w barakowozie, który też kupił. Interes nie bez formalnych komplikacji.

- Wtedy, w 1982, nie można było prowadzić takiego biznesu jako przedsiębiorca - tłumaczy. - Można było go mieć, ale nie prowadzić, więc zapisałem się do Stołecznej Estrady. W ten sposób w wieku lat 21 zostałem rejestrowanym artystą i agentem artystycznym i jako taki mogłem prowadzić salon gier zręcznościowych. Władza takiego biznesu szczególnie nie kochała, bo to prawie hazard, w dodatku brzydko pachnący wrażym imperialistycznym Las Vegas.

- Mimo wszystko to były dla mnie dobre czasy, bo jako agent Stołecznej Estrady płaciłem tylko 6 procent podatku, żadnego VAT, żadnej składki zdrowotnej i tym podobnych - mówi dziś Robert Podleś.

Skąd nazwa Cobi? Robert Podleś, pomysłodawca i twórca firmy, mówi, że odpowiadał na to pytanie wielokrotnie i... za każdym razem odpowiedź jest inna. - A prawda jest taka, że to nic nie znaczy - przyznaje z rozbijającą szczerością

Andrzej Płeś

JAK POLSKIE COBI NIE DAŁO SIĘ DUŃSKIEMU LEGO I ZAWOJOWAŁO ŚWIAT



Firma od połowy lat 90. ub. wieku działa w Specjalnej Strefie Ekonomicznej w Mielcu

Kilka lat „żarło”, ale z końcem lat 80. obliczył, że - by zrobić z tego „small biznes” naprawdę duży biznes - musiałby zarządzać setkami takich automatów do gier. W kraju, w którym nie było w sklepach niczego, produkcja - wydawało mu się - dawała nieograniczone możliwości. Zaczął drukować gry planszowe i puzzle. Sprzedaż takiego asortymentu była czystą rozkoszą: pakował gotowy produkt w ledwo zipiącą nyskę „na pych”, bo rozrusznik nie działał, jechał na targi, „szło jak woda”. Sklepy też przyjmowały, ile mo-

gły. Za to produkcja była koszmarem - już zdobycie kartonu było wyzwaniem. I z takim interesem wkroczył z ery gospodarki socjalistycznej w dziki kapitalizm. I to z przytupem, bo jego planszówka „Komandosi”, stworzona do spółki z kolegą z ławki szkolnej, zdobyła tytuł „Gry roku 1990” w plebiscycie organizowanym przez tygodnik „Razem” i młodzieżowy „Świat Młodych”. Pomogli Terminator (Schwarzenegger) w duecie z Rambo (Stallone) na pudełku, bo wręcz wpychali grę do rąk klientów. Dziś kolekcjonerzy

płacą za nią na platformach sprzedażowych ponad 320 zł. „Komandosi” byli tematem pierwszej bodaj reklamy w Telewizji Polskiej. Ledwie trzy emisje, ale jak na tv, która dysponowała wtedy dwoma programami, to i tak był sukces.

Narodziny Cobi i próby eutanazji przez „gang Olsena”

Zaczął osiadać w branży zabawkarskiej, wybrał się nawet na zabawkarskie targi do Hongkongu, i tam zobaczył dziecięcy raj: zabawki firm zachodnich

z całego świata, bo dotychczas oglądał na ogół te enerdownskie. Nawiązał kontakty, wszedł w przedstawicielstwo firm zachodnich na kraje Europy Wschodniej, w końcu uznał, że czas iść na swoje. Do spółki z przyjacielem zarejestrowali firmę Cobi, od razu z myślą o produkcji klocków konstrukcyjnych, więc kupili nieco maszyn produkcyjnych. Produkowali „na Polskę”, trochę na wschód, na rynki zachodnie nie mieli jeszcze wstępu, ale i tak dostrzegł ich duński gigant tej branży.

- Zaczęło się nękanie, także pozwami o stosowanie nieuczciwej konkurencji, które trwało lat kilkanaście - wspomina pan Robert. - Żądali od nas nie tylko zaprzestania produkcji, ale zniszczenia stanów magazynowych, oprzyrządowania i maszyn. Siedzieliliśmy po uszy w kredytach, bo stale byliśmy w procesie inwestycji, więc w konfrontacji z takim przeciwnikiem było się czego obawiać.

A już zaczęli się rozpychać na rynkach pozakrajowych, co tylko zwielokrotniło determinację duńskiej firmy. W efekcie z licznych procesów, jakie konkurent im wytoczył przed sądami w wielu krajach, przegrali tylko jeden: na Węgrzech.

- Pewnie dziełem przypadku jest, że w dniu, kiedy ogłoszono tam niekorzystny dla nas wyrok, węgierskie media podały triumfalnie, że duński producent klocków konstrukcyjnych zainwestuje w ich kraju miliony dolarów - wspomina Robert Podleś.

Za to z satysfakcją wspomina to, co stało się przed sądem szwedzkim. Dziewięcioosobowy skład sędziowski poświęcił na rozpatrzenie tego sporu cały dzień, co już było ewenementem. Tego dnia na sali sądowej pojawiła się ok. 70-osobowa delegacja strony duńskiej firmy, w tym dwie dziesiątki adwokatów. Przylecieli dwoma samolotami, zainstalowali się na kilka dni w najlepszych hotelach Sztokholmu, tymczasem sąd uświadomił stronom, że ta przegrana będzie musiała zapłacić wygranej koszty udziału w procesie. Wystarczy, żeby przed prezesem Podleśiem nogi ugięły się pod ciężarem finansowych skutków przegranej. A to był tylko kolejny kłopot w serii.

- My mieliśmy problemy ze znalezieniem prawnika, dziecień na dziesięć szwedzkich kancelarii prawnych nie mogło się podjąć reprezentowania nas, bo w wielu innych sprawach obsługiwała naszych przeciwników procesowych - tłumaczy. - W końcu trafiliśmy na prawnika, który przyjął naszą sprawę wręcz entuzjastycznie. Też się zdziwiliśmy, ale wyjaśnił, że nasz duński konkurent niegdyś zagroził wytoczeniu jemu i jego rodzinie sprawy sądowej z żądaniem, że mają zmienić nazwisko. A pan mecenas Lego udowodnił, że jego i jego przodków nazwisko pochodzi z czasów, kiedy duń-

skiej firmy jeszcze „nie było na świecie”. Chyba jakaś zadra w nim została, bo przyjmując naszą sprawę, ucieszył się, że będzie miał okazję raz jeszcze im „dołożyć”. I „dołożył”, bo wygraliśmy, choć z naszej strony na sali sądowej było nas włącznie z mecenasem Lego trzech, a po drugiej stronie około 70 osób. I wygraliśmy.

Pamięta inny proces, też wygrany, i w dodatku wiedzą techniczną. Sąd mocno zagłębił się w sprawy techniczne dotyczące także budowy klocków.

- Z moim wykształceniem bez trudu byłem w stanie udowodnić, że klocki konstrukcyjne muszą mieć odpowiednie parametry, budowę, przekroje, żeby spełniały swoją rolę, a twierdzenie, że można to robić inaczej, zostało w sądzie obalone. Prawnicy drugiej strony nie mieli pojęcia o zabawkach, konstrukcji klocków - ograniczali się do twierdzeń, że nasze to nieuczciwa konkurencja i podrobka. Druga strona na takie ujęcie problemu kompletnie nie była przygotowana.

I dodaje, że klocki konstrukcyjne wymyślił Brytyjczyk Hillary Page dla swojej firmy Kiddicraft, opatentował je w 1947 roku na Anglię, Francję i Szwajcarię, ale nie na Danię, więc tujejsza, jeszcze mała firma zabawkarska skopiowała pomysł, opatentowała na Danię, uznając, że kwestia własności intelektualnej w branży zabawkarskiej nie jest traktowana przesadnie poważnie.

Kłosek po klocku budujemy historię i... inżynierów

Potężnym podmuchem w żagle firmy była „Small Army”: samoloty, czołgi, okręty, wozy bojowe, artyleria, wojskowe wozy transportowe, nawet okręty żaglowe, jak Victory. Duńska konkurencja unikała tematyki wojennej, ograniczając się co najwyżej do kopiowania futurystycznych środków transportu ze „Star Wars”. Dla sympatyków klocków konstrukcyjnych Small Army stała się prawdziwym rarytasem, pomysł podchwycili pasjonaci.

- Nasz slogan reklamowy mówi: „Buduj historię klocków po klocku” - przypomina Robert Podleś. - Składając nasze klocki, każdy może dotknąć historii. Nasze zestawy nawiązują do takich wydarzeń, jak bitwa pod Monte Cassino, bitwa pod Stalingradem, D - Day, bitwa pod Grunwaldem i wiele innych historycznych wydarzeń. Nasze zestawy są w zasadzie dla trzech pokoleń: dla dzieci, ich rodziców i dziadków. Składając dany model, na przykład czołgu, dziecko zaczyna interesować się celem jego powstania, jego przeznaczeniem, okresem wykorzystania, wydarzeniem historycznym, w którym odegrał szczególnie istotną rolę, zaczyna szukać informacji, kontekstów historycznych. To zupełnie inny i chyba



FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Robert Podleś: Składając nasze klocki, każdy może dotknąć historii. Nasze zestawy nawiązują do takich wydarzeń historycznych, jak bitwa pod Monte Cassino, bitwa pod Stalingradem czy bitwa pod Grunwaldem

bardziej efektywny sposób przyswajania wiedzy niż podczas, może czasem nudnej, lekcji historii w szkole.

Podkreśla, że propozycja firmy nie tylko buduje zainteresowanie historią, ale też „produkuje” przyszłych inżynierów.

– Wymusza aktywność wyobraźni, rozumienie trójwymiarowości, patrzenie na obiekt z perspektywy klocka, ale widzenie całości, na które pojedyncze klocki się składają, szukanie korelacji konstrukcyjnych pomiędzy nimi – analizuje. – To czasem

niełatwe: nasz model czołgu Tiger to 11 tysięcy klocków. Tego nie da się złożyć w dzień, dwa – na to trzeba tygodnia, a niektórzy mówią, że dwóch.

Historyczny kontekst chwycił rynkowo. Wkrótce pojawiła się seria o kultowych samocho-

dach, można rozszerzyć swoją kolekcję „wszystkiego, co lata” o modele statków powietrznych, produkowanych w PZL Mielec. Obiekty specjalne dla firmy, która swój dział konstrukcyjny, planistyczny, magazyny i dystrybucję i oczywiście całą produkcję osadziła w połowie lat dziewięćdziesiątych w Specjalnej Strefie Ekonomicznej w Mielcu.

– Byliśmy podajże dwunastą firmą, która zdecydowała się skorzystać z propozycji mieleckiej SSE – przypomina sobie założyciel firmy.

Dziś zabawkarsko-edukacyjna oferta mieleckiej firmy ma niezliczonych sympatyków, szczególnie aktywnych w Cobi Funs na Instagramie i Mecie, komentujących tematycznie podcasterów. Prezes Podleś podkreśla, że to niewyczerpalne źródło pomysłów, kreatywności, ale też najlepsza kontrola jakości.

– Szczególnie ci z zacięciem historycznym potrafią wyłapać w modelu mikrodetal, który być może nie zgadza się z oryginałem – wspomina. – A prezentujemy wersje przedprodukcyjne, czekając na ich uwagi, bo mamy jeszcze czas, aby je poprawić. Jesteśmy im za to wdzięczni. Jak i tym, którzy podpowiadają nam, jakich serii oczekują, jakich modeli, toczą między sobą dyskusję.

Nie mniej ważne dla planowania przyszłości i projektowania kolejnych serii jest umiejętność

wyczuwania, podbudowana rozpoznaniem, „na co zanoszą się” w branży na Zachodzie.

Wciąż jest na trasie

Mimo dominacji w tej branży marek o rozpoznawalności globalnej, mielecka firma zdobywa kolejne przyczółki na świecie.

– Naszym największym odbiorcą są rynki amerykański i niemiecki, nie zawsze w tej kolejności – zastrzega Robert Podleś. – Mocno tkwimy na rynku norweskim, istniejemy na brytyjskim, francuskim, czeskim, wiele eksportujemy do państw azjatyckich, głównie do Chin, a i w Afryce można nas znaleźć. W sumie ponad 80 procent produkcji eksportujemy.

Był pomysł, aby część swojej produkcji zainstalować w USA, by mocniej wejść w tamten rynek. Zgasił nie tak dawno między innymi ze względu na politycznie kreowane perturbacje na amerykańskim rynku i niemal wszechmoc tamtejszych związków zawodowych – koszmar każdego inwestora spoza USA. Prezes opowiada, jak to podczas uczestnictwa w targach za wielką wodą nie wolno im było na własnym stoisku wkręcić żarówkę, bo to praca zastrzeżona przez związki dla tamtejszych pracowników – 50 USD, bo „człowiekowi z zewnątrz” nie wolno wejść na drabinę w celach zawodowych. Prze-

transportowanie palety wozkiem widłowym – 170 USD, jakby nikt z polskiej obsługi polskiego stoiska nie mógł tego zrobić. Biznes nie lubi przewlekłych w czasie procesów decyzyjnych, toteż firma właśnie zainwestowała w kolejne przestrzenie produkcyjne w mieleckiej strefie ekonomicznej.

Prezes Podleś przyznaje, że działa w chimerycznej, szarpiącej nerwy, bardzo zależnej od mody, ale jednocześnie ekscytującej branży.

– Mieliliśmy kilka takich serii, które były bardzo popularne i nagle, jak ręką odjął, przestały się sprzedawać – wspomina. – Frustrujące jest, że musimy emitować krótkie serie, bo zainteresowanie rynku daną serią szybko gaśnie – on oczekuje wciąż nowych i nowych.

Pytany, czy zdobywszy już tyle wciąż czuje głód biznesowego sukcesu, sam pyta: co to jest sukces? Bo jeśli chodzi o rozwój i ekspansję firmy, to...

– Tak, wciąż jestem głodny, jeszcze nawet podwieczorka nie zjadłem – przyznaje. – Nie czuję zmęczenia. Bo wie pan, ja kiedyś biegałem w ultramaratonach, zmęczenie przychodzi dopiero w nocy, po wszystkim. Kiedy biegnie się 30 godzin, to nie czuje się zmęczenia, bo adrenalina napędza i w głowie kręci się motor, że trzeba osiągnąć cel. A ja biznesowo cały czas jestem na trasie.

REKLAMA

0011460141

Polska i Europa – czas na nowy porządek. Ważna debata w lutym w Warszawie

Współczesny świat znajduje się w fazie głębokiej przebudowy. Dotychczasowy porządek międzynarodowy ulega erozji, a na jego miejsce nie wyłonił się jeszcze nowy, stabilny układ sił. Gospodarka globalna coraz silniej funkcjonuje w cieniu geopolityki, gdzie wojny, rywalizacja mocarstw, kryzysy migracyjne i narastające turbulencje polityczne wpływają bezpośrednio na decyzje ekonomiczne, łańcuchy dostaw oraz tempo rozwoju poszczególnych państw.

Konflikty zbrojne unaoczniały, jak kruche są fundamenty bezpieczeństwa energetycznego, żywnościowego i technologicznego. W tym nowym, niepewnym otoczeniu Polska i Europa stają wobec fundamentalnych wyzwań. Bezpieczeństwo i niezależność – energetyczna, technologiczna i militarna – przestają być jedynie hasłami, a stają się strategicznymi priorytetami.

To właśnie te przemiany i wyzwania będą głównym tematem debat podczas konferencji **EEC Trends**, która odbędzie się **9 lutego 2026 r.** w hotelu **Sheraton Grand Warsaw**. Tradycyjnie EEC Trends zgromadzi liderów życia gospodarczego, przedstawicieli administracji, in-

westorów i analityków, którzy poszukają odpowiedzi na pytania o przyszłość polskiej gospodarki w dynamicznym świecie.

Swoją udział potwierdzili już m.in. **Miroslaw Czekał**, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego; **Krzysztof Dresler**, wiceprezes PKO Banku Polskiego; **Agnieszka Kubera**, prezeska Accenture w Polsce; **Katarzyna Lubnauer**, sekretarz stanu Ministerstwa Edukacji Narodowej; **Kamil Majczak**, prezes Grupy Qemetica; **Renata Mroczek**, prezes Urzędu Regulacji Energetyki; **Michał H. Mrozek**, wiceprezes ING Banku Śląskiego; **Bartłomiej Pejo**, poseł na Sejm RP, przewodniczący Komisji Cyfryzacji, Innowacyjności i Nowo-

czesnych Technologii; **Piotr Wyborski**, prezes PKP Polskich Linii Kolejowych. W czasie uroczystej gali towarzyszącej EEC Trends wrę-

czone zostaną statuetki **WNP Awards**. Prestiżowe wyróżnienia przyznawane są przez redakcję portalu WNP osobom, instytucjom i firmom,

które w szczególny sposób wpływają na rozwój polskiej gospodarki. Nagrody trafiają do tych, którzy poprzez swoją aktywność, odwagę

w działaniu i umiejętność przewidywania zmian wyznaczają nowe kierunki rozwoju – dla branż, sektorów i całej gospodarki.



Media nazywają Cię aktorskim kameleonem, bo w każdym filmie odślaniasz inną twarz. Zgadzasz się z tym określeniem?
Trudno samemu o sobie mówić. To na pewno bardzo miłe. Jeśli tak jest naprawdę, to tylko mogę się cieszyć. Ja po prostu lubię swoją robotę i staram się ją wykonywać jak najlepiej, żeby się potem nie wstydić.

Teraz oglądamy Cię w filmie „Dziki” o polskim Tarzanie. Takiego bohatera jeszcze nie było w naszym kinie. Dlatego zgodziłeś się go zagrać?
Nie rozpatruję tego w takich kategoriach. To była przede wszystkim świetna postać do zagrania i fantastyczne zadanie aktorskie. Do tego niezwykła przygoda, którą można było przeżyć, choćby przez samo obcowanie z dziką naturą w górach. Generalnie lubię trudne wyzwania. Łatwo mnie zachęcić do pracy, kiedy ktoś przychodzi i mówi: „Stary, będzie skrajnie niewygodnie i ciężko”. Wtedy z automatu zaczyna mi się chcieć bardziej. (śmiej)

Twórcą filmu jest Maciej Kawulski, z którym pracowałeś przy wszystkich jego wcześniejszych produkcjach. Łączy was wyjątkowe porozumienie?
Myślę, że tak. Wypracowaliśmy je przez ten cały okres naszej współpracy. Mam 35 lat, a znam go już 10 lat. Z mojej perspektywy to szmat czasu i dużo to dla mnie znaczy. Zawsze z przyjemnością z nim pracuję.

Maciej dał Ci dużo przestrzeni na własne pomysły przy wykreowaniu postaci Dzikiego?
Zawsze tak się dzieje, kiedy razem pracujemy. Ale to nie jest tak, że Maciek daje pełną wolność i w ogóle nie ingeruje. Zawsze jest świetnie przygotowany i dokładnie wie, czego chce. Dlatego w momentach, w których czułem jakąś niemoc w zetknięciu z materiałem czy warunkami atmosferycznymi, które często dawały się nam we znaki, zawsze przychodził z pomocą, aby mnie podprzeć. Ale jeśli pytasz o wolność twórczą, to dostaję ją od Macka za każdym razem.

Dziki to postać, która wymagała od Ciebie wyjątkowego przygotowania fizycznego, pewnie jeszcze bardziej niż „Kulej”. Jak sobie z tym poradzisz?
To było zupełnie inne przygotowanie. W przypadku „Kuleja” zajęcia na siłowni musiały się połączyć z opanowaniem umiejętności bokserskich i zbudowaniem kondycji. Tutaj w dużej mierze skoncentrowaliśmy się na rzeźbieniu sylwetki i przygotowaniu ciała na gorsze warunki pogodowe. Maciek zakupił mi dużą zamrażarkę na mięso, wstawił na balkon i kazał w niej... morsować. (śmiej) Na tym polegała

TOMASZ WŁOSOK: KIEDY ODKRYŁEM AKTORSTWO, ODNALAZŁEM SENS ŻYCIA

Nie tak dawno zbierał pochwały za główne role w filmach „Kulej. Dwie strony medalu” czy „Piosenki o miłości”. Teraz można go oglądać w kinach jako polskiego Tarzana w przygodowej produkcji „Dziki”.
Nam Tomasz Włosok opowiada, jak poradził sobie z zagranieniem bohatera, który prawie w ogóle nie mówi

Patryk Gzyl

główna trudność przygotowania fizycznego do tej roli.

Twój bohater jest uznawany za niemowę i nie odzywa się prawie przez cały film. Jaki miało to wpływ na Twoją grę?
Początkowo miałem taki plan, aby nie odzywać się w ogóle do nikogo na czas realizacji tego filmu i przejść w kompletnej ciszy przez ten plan, ale dość szybko zrozumiałem, że byłoby w tym coś narcystycznego i utrudniającego pracę innym, czego w tak trudnych warunkach przyrody nikt by nie potrzebował. I tak co rusz dostawaliśmy kolejną lekcję pokory ze strony natury. Dlatego zrezygnowałem z tego pomysłu niemal zaraz po tym, jak na niego wpadłem. Szybko okazało się, że to milczenie, które musiałem zachować w poszczególnych scenach, to bardzo trudne zadanie. Początkowo myślałem, że będzie fajnie, ponieważ nie trzeba się specjalnie przygotowywać tekstowo, ale okazało się, że mowa pomaga nam w wyrażaniu siebie. Dlatego mocno odczuwałem te ograniczenia. Martwiłem się, że sceny pozbawiane dialogu są nudne i nie sprawdzą się. Że za mocno na pewne rzeczy reaguję, nie mogąc wyrazić emocji za pomocą słów, bo zazwyczaj do tej pory je werbalizowałem. To było naprawdę trudne zadanie.

Dziki jest trochę człowiekiem, trochę zwierzęciem. Żeby za-

grać taką postać, musiałeś dokopać się w sobie do tej dzikości?

To już muszą ocenić widzowie. Mnie to trudno stwierdzić. W mojej głowie mogłem dojść do wielu wniosków, ale czy one okazały się skuteczne? Na pewno próbowałem i bardzo mi zależało na tym, żeby ten bohater, na tym etapie, w którym ja się w niego wcielałem, kiedy jest już najbardziej uczłowieczony, zachowywał jednak w sobie cechy i pierwotne zachowania nabyte z obcowania z naturą. Kiedy szukałem pomysłów na reakcje Dzikiego w niektórych scenach, odrzucaliśmy te, które uznawałbym za nazbyt ludzkie i ucywilizowane i jakby z automatu wybieraliśmy te, które były dla nich opozycją. W tym celu oglądaliśmy filmy przyrodnicze, podpatrując w nich, jak zachowują się w różnych sytuacjach zwierzęta. W ten sposób staraliśmy się znaleźć tę dzikość w tym moim obytym już nieco z ludźmi bohaterze.

Krećcieście w górach w Polsce i na Słowacji. Obyło się bez przygód na planie?

Każdego dnia mieliśmy jakieś starcia z naturą. Są w filmie sceny, które rozgrywają się w gęstej mgle. Tymczasem plan na nie był taki, że mieliśmy kręcić w pełnym słońcu. Znaleźliśmy bowiem piękną osadę drewnianych domków na szczycie góry, które tworzyły

niesamowity klimat. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego. Kiedy przyjechaliliśmy ze sprzętem na miejsce, to, co wydawało się poranną mgłą, okazało się wielką chmurą, która zalegała tam przez trzy dni. No i trzeba było sobie poradzić z tymi warunkami atmosferycznymi. To oczywiście stworzyło inną jakość, coś, co działa w tej scenie, ale była to dla nas duża lekcja pokory ze strony natury. Zresztą dostawaliśmy ją codziennie: film opowiada przecież o górach, a te wymagają od człowieka wielkiego szacunku.

Kiedy byłeś mały, pewnie biegałeś po lesie z patykami i walczyłeś z wymyślonymi potworami. Zagranie w takim filmie jak „Dziki” było dla Ciebie powrotem do dziecięcych fantazji?
Oczywiście. Ja kocham takie kino. Nazywam je z moim przyjacielem „rycerskim”. Bo jest tam tragiczny bohater, walka o honor i braterstwo, zmaganie się ze swoimi słabościami. Ja się też wychowałem na takich filmach i do dzisiaj je kocham. Marzy mi się robienie takiego kina, a w Polsce nie tworzy się go zbyt często. Dlatego „Dziki” był dla mnie wyjątkową okazją do spełnienia takiego marzenia. Czułem się więc zaszczycony, mogąc brać udział w tym przedsięwzięciu.

Jesteś z pokolenia wychowanego na „Władcy Pierścieni”



Tomasz Włosok: Na tym etapie, w którym ja się wcielałem w Dzikiego, kiedy jest już uczłowieczony, zachowywał jednak w sobie cechy i pierwotne zachowania

i „Harrym Potterze”. Sporo czasu spędzałeś też pewnie, grając w gry komputerowe. To te rozbudzające wyobraźnię historie sprawiły, że zamarzyło Ci się aktorstwo?

Bardzo lubię do dzisiaj to medium, jakim są fabularne gry, bo to superuzupełnienie dla kina. Ostatnio wiele z nich jest inspiracją do powstawania filmów czy seriali – choćby „The Last Of Us”. To gry mocno nastawione na opowiadaną historię, mające szansę podejmowania różnorodnej tematyki. Kiedy ja zaczynałem swoją przygodę z grami komputerowymi, były one jeszcze dosyć skromne. Nie była to więc jakaś inspiracja do tego, aby zostać aktorem. Ale ja ciągle wierzę w takie wymyślone światy. Dlatego nigdy nie chciałbym zapomnieć o tym przysłowiowym patyku, z którym ganiałem po lesie.

Aktorską wiedzę zdobywałeś w Krakowie: najpierw w L’art Studio, a potem w Akademii Teatralnej. Jak Ci było pod Wawelem?

To bez wątpienia jeden z cudośniejszych etapów mojego życia. Mieszało się wtedy we mnie wiele emocji, dojrzałość z niedojrzałością. To był ciekawy czas.

Jakiś czas później wyznałeś: „Kiedy odkryłem aktorstwo, świat nabrał kolorów”. Co to oznacza?

Pod koniec liceum nie miałem większych planów na swoją przyszłość. Moje życie do matury i jeszcze chwilę później polegało na zwykłym odbębnianiu rzeczy i spraw. Nie miałem sprecyzowanych zainteresowań i żadnych perspektyw na ciekawą przyszłość. Kiedy odkryłem aktorstwo, odnalazłem sens życia i zacząłem z niego dużo więcej czerpać. Tak było oczywiście na tamtym etapie. Teraz moje priorytety się pozmięniały i czerpię z życia jeszcze więcej. Ale wtedy było to bardzo ważne, bo odnalazłem jego sens.

Po studiach zwróciłeś się w stronę filmu. Teatr Cię nie pociąga?

To było trochę inaczej. Zaraz po szkole pojechałem do Częstochowy i zrobiłem tam spektakl. Równolegle grałem już w serialu „Pierwsza miłość”. Kiedy byłem na próbach w Częstochowie, okazało się, że zagram w „Powidokach” Andrzeja Wajdy. Za chwilę pojawił się Maciek Pieprzyca z „Jestem mordercą”. I w naturalny sposób zwróciłem się w stronę filmów i seriali. Nie było to jakoś wymyślone przeze mnie, bo ja raczej staram się nie kalkulować, tylko daję się ponieść życiu. Los mnie tak popchnął, ale oczywiście po drodze musiałem podjąć jedną czy drugą decyzję. I jedną z nich była rezygnacja z potencjalnego etatu w Częstochowie. Dziś mnie

może rozumiem świat teatru, bo po prostu mniej do niego należę. Brakuje mi jednak trochę tej ekscytacji związanej z wyjściem na scenę, ale nie ma co cierpieć w życiu na nadmiar.

Po raz pierwszy zwrócono na Ciebie uwagę w „Kruku”, gdzie zagrałeś „czarny charakter”. To była dobra rozgrzewka na początek kariery?

Kocham tę serial i tę postać. Uwielbiam pracować z Maciem Pieprzycą. To nie jest żadna tajemnica. Bardzo dobrze wspominam tę produkcję, za którą odpowiadała firma Opus Films. Pracują tam wspólnie ludzie. To był plan marzeń. Kiedy dostałem informację, że jest bardzo znacząca rola w „Kruku”, którą mógłbym zagrać, zadzwoniłem do Macia, żeby dał mi jakieś wskazówki, co mogę na ten casting przygotować. Pozwoliłem sobie na to, bo pracowaliśmy już wcześniej razem. A on mówi: „Ty już to dostałeś. Nie musisz nic przygotowywać”. (śmiej) To było wspaniałe – pierwsza rola, którą dostałem w prezencie jako wyraz pewnego kredytu zaufania wobec mnie ze strony reżysera. Nie sądziłem, że to wyewoluje w serial, który doczekał się aż trzech sezonów. Dlatego jestem do dziś za to Maciowi bardzo wdzięczny.

Głośno stało się o Tobie, kiedy dostałeś nagrodę w Gdyni za „Jak zostałem gangsterem”. Świat polskich dresiarzy na pewno był ci obcy. Co sprawiło, że tak sugestywnie wcieliłeś się w Waldena?

Czy obcy? Cóż, przyjrzałem się w życiu różnym sytuacjom i ludziom. (śmiej) Widziałem kilkakrotnie ten typ osobowości, jaki reprezentował Walden. Kiedy kręcę film i wcielam się w jakąś postać, podłapuję jej cechy od różnych osób, które poznałem w prawdziwym świecie. W ten sposób buduję swego bohatera i potem, choć nigdy nie miałem styczności ze światem przestępczym, ktoś, kto się z niego wywodzi, widząc moją pracę na ekranie, mówi: „No patrz, ten Walden jest dokładnie taki sam jak ten czy ten”. Już scenariusz „Jak zostałem gangsterem” podpowiadał mi, że będę miał do czynienia z budowaniem osobowości kogoś, kto potrzebując ojcowskiej uwagi, dostanie ją od człowieka, który jest bandziorem, i to sprawi, że trafi do przestępczego świata. Kilka razy w życiu zobaczyłem, jak działa podobny mechanizm, dodałem do tego predyspozycje do szaleństwa, jakie miał w sobie Walden, i udało się stworzyć wyrazistą postać.

Na przeciwnym biegunie do Waldena jest Robert z „Piosenek o miłości”. Zagranie takiego skupionego i wyciszzonego chłopaka było trudniejsze?

Trudno to określić. To było zupełnie inne zadanie. Mam ogromne szczęście do ludzi, których spotykam na swej zawodowej drodze. Szczególnie do reżyserów, którzy nigdy nie zostawili mnie samego z moją pracą. Mając zabezpieczenie w postaci tego koła ratunkowego, czuję zawsze, iż to, co robię, ma głęboki sens. I tyle. Nigdy nie zastanawiam się nad tym, co to robi dla mnie, budując tę czy inną postać, bo mam wrażenie, że mogłoby mi to zabrać kreatywność. Jest tu i teraz i na tym się skupiam. Oczywiście postać Roberta z „Piosenek o miłości” jest zdecydowanie cichsza i mniej ekspresyjna, opiera się więc na innych nutach i na innej psychologii – na toksycznej relacji z ojcem, życiu w jego cieniu, pozostawieniu samemu sobie. Wszystko to sprawia, że ten bohater jest taki jest. Reżyser Tomek Chabowski bardzo precyzyjnie określał, czego ode mnie oczekuje, i dawał mi bardzo konkretne wskazówki, o czym chce opowiedzieć w każdej scenie. Ja musiałem się tylko w nie wsłuchać i pokazać to przed kamerą.

Świetnie odnalazłeś się też w komedii, czyli w serialu „Emigracja XD”. To dlatego, że Malcolm jest do Ciebie podobny i zagrałeś trochę siebie z młodości – chłopaka, którego trudno oderwać od komputera?

Tak. Faktycznie, spośród wszystkich postaci, które zagrałem, do Malcolma mi najbliższe. (śmiej)

Najważniejszym Twoim filmem jest na pewno „Kulej. Dwiestronny medal”. Zagranie autentycznej postaci to wyższa szkoła jazdy dla aktora?

Budowanie roli legendy polskiego pięściarstwa na pewno było naznaczone nadprzeciętną presją. Ale dotarło to do mnie na szczęście dopiero wtedy, kiedy skończyliśmy ten film. (śmiej) Byłem więc już bezpieczny. Ale faktycznie, to było moje najtrudniejsze zadanie do wykonania. Tym bardziej że marzyłem, aby dostać tę rolę. Postać Jerzego Kuleja była mi dobrze znana, bo interesuję się boksem i sportami walki od dzieciństwa. Do dziś uprawiam je – przede wszystkim, aby wyciszyć głowę. Daje mi to duże ukojenie, stąd jest to dla mnie bardzo ważne. I z tego względu zrealizowanie tego filmu było dla mnie spełnieniem marzeń. Ale dlatego, że miałem okazję współpracować z Xawerym Żuławskim. To właśnie do niego

przyszedłem na pierwszy casting w swoim życiu, na którym otrzymałem od reżysera szczerze wskazówki, co o mnie myśli. Powiedział mi, co zadziało, a co nie zadziało. Naturalnie nie dostałem wtedy tej roli. Ale to spotkanie było dla mnie ważne, bo zbudowało w dużym stopniu moją optykę na ten zawód i tę branżę. Marzyłem więc, żeby się z nim ponownie spotkać. I było na co czekać, bo okazało się, że Xavery cudownie prowadzi aktorów. Jest wspaniałym człowiekiem.

„Kulej” pokazuje, że masz też szczęście do partnerek na ekranie. Stworzyliście z Michaliną Olszańską tym filmie prawdziwą „power couple”.

To prawda. Bardzo się z Michaliną polubiliśmy. Ona jest cudowną osobą i to był ogromny zaszczyt móc z nią przez ten film przetańcować. (śmiej)

Z kolei w „Zielonej granicy” zagrałeś ze swoją partnerką, również aktorką Malwiną Buss. Jakie to było doświadczenie?

Niezmiennie inspirujące. (śmiej) Bardzo lubimy z Malwiną ze sobą pracować i chcielibyśmy robić to częściej. Moją partnerką jest wspaniałą aktorką, dobrze się znamy, wiemy zatem, czego od siebie oczekiwać i wymagać. I to po prostu

w „Zielonej granicy” zadziało. Bo to zawsze działa.

Dobrze mieć za życiową partnerkę osobę, która uprawia ten sam zawód, co my?

Myszę, że tak. Oczywiście początkowo myślałem o tym różnie, ale teraz skłaniam się ku stwierdzeniu, że człowiekowi spoza branży trudno jest zrozumieć specyfikę pracy aktora. Wiele związanych z nią elementów może się wydawać trudnych do zaakceptowania. Dlatego największą wyrozumiałością dla aktora może się wykazać ktoś, kto też uprawia ten zawód. Ale tu chodzi również o to, aby być ze sobą szczerym i jasno wyznaczać to, że aktorstwo jest tylko pracą i niczym więcej.

Masz też pięcioletnią córeczkę Jagodę. Na pewno przez ten czas, od kiedy zostałeś ojcem, dojrzałeś emocjonalnie. Miało to jakiś wpływ na Twoje aktorstwo?

Od momentu, kiedy zacząłem realnie odpowiadać za drugiego człowieka, coś zmieniło się chemicznie w mojej głowie. Czy to jest dojrzałość? Chyba daleko mi jeszcze do niej. Po prostu czuję, że inaczej odbieram rzeczywistość. Zmieniła się moja perspektywa patrzenia na życie i świat: jest ten mały człowiek i dopiero potem cała reszta.

REKLAMA

0011460131

4 Design Days 2026 – dekada rozmów o architekturze i przyszłości miast

W dniach 22–23 stycznia 2026 r. Międzynarodowe Centrum Kongresowe w Katowicach ponownie stanie się stolicą polskiej architektury, designu i debaty o jakości przestrzeni. Jubileuszowa, 10. edycja 4 Design Days będzie nie tylko okazją do świętowania dekady istnienia wydarzenia, ale także momentem podsumowania zmian, jakie zaszły w podejściu do projektowania miast, budynków i wnętrz od pierwszej edycji w 2016 roku. Przez dziesięć lat 4DD konsekwentnie budowało przestrzeń dialogu pomiędzy architektami, projektantami, inwestorami, samorządowcami i przedstawicielami biznesu – środowiskami, które realnie wpływają na wygląd i funkcjonowanie naszych miast.

Goście specjálni i merytoryczne wyzwania

Tegoroczną odstonę wydarzenia uświetnią dwie międzynarodowe osobowości świata architektury. Do Katowic przyjedzie David Sim – szkocki architekt i urbanista, autor głośnej książki „Soft



City” („Miasto życzliwe”), uznawanej za jedną z najważniejszych publikacji ostatnich lat poświęconych projektowaniu miast przyjaznych człowiekowi. Sim od lat przekazuje, że dobra architektura zaczyna się od skali człowieka, relacji społecznych i jakości codziennych doświadczeń użytkowników przestrzeni.

Drugim gościem specjalnym będzie Jonas Norsted, współzałożyciel norweskiej pracowni Atelier Oslo, znanej

z realizacji opartych na adaptacji i przekształcaniu istniejących budynków. W jego dorobku znajdują się m.in. nagradzana Biblioteka Deichmana w Oslo czy przebudowy ważnych obiektów publicznych. Norsted w swoich wystąpieniach często podkreśla, że przyszłość architektury leży nie w burzeniu, lecz w mądrym przetwarzaniu tego, co już istnieje.

Obaj architekci wezmą udział w kluczowych deba-

tach poświęconych jakości przestrzeni, odpowiedzialnemu projektowaniu i wyzwaniom, przed jakimi stoi współczesne miasto.

Program skupiony na realnych problemach

Program jubileuszowej edycji skoncentruje się na najbardziej aktualnych tematach branży: zrównoważonym budownictwie, kryzysie klimatycznym, odpowiedzialności społecznej projek-

tantów, innowacjach technologicznych oraz nowych kierunkach w architekturze i projektowaniu wnętrz. Dyskusje będą dotyczyć m.in. tego, jak projektować budynki odporne na zmiany klimatu, jak tworzyć przestrzenie dostępne dla różnych grup użytkowników oraz jak łączyć estetykę z funkcjonalnością.

Wśród potwierdzonych prelegentów znaleźli się czołowi polscy twórcy i eksperci, m.in. Tomasz Konior, Robert Konieczny, Przemysław Łukasik, Agnieszka Kalinowska-Sołtys, a także przedstawiciele świata biznesu, administracji i rynku nieruchomości. Łącznie program obejmuje już ponad 100 nazwisk z różnych obszarów branży.

Wieczór najlepszej architektury

Integralnym elementem 4 Design Days będzie finał konkursu Property Design Awards. 22 stycznia o godz. 19.00 odbędzie się uroczysta Gala, podczas której poznamy laureatów nagród w kategoriach architektonicznych i wnętrzarskich oraz zdobywców

specjalnych tytułów dekady, podsumowujących ostatnie dziesięć lat polskiej architektury. Drugiego dnia wydarzenia wręczone zostaną także nagrody w konkursie Dobry Design, promującym projekty łączące estetykę, funkcjonalność i odpowiedzialność środowiskową.

W ramach wydarzenia zaplanowano również Property Forum: Pomysł na Miasto – spotkanie poświęcone kierunkom rozwoju polskich miast, w którym udział wezmą deweloperzy, samorządowcy, urbariści i eksperci rynku nieruchomości. Dyskusje dotyczyć będą m.in. transformacji terenów poprzemysłowych, jakości przestrzeni publicznych oraz roli inwestycji w budowaniu atrakcyjnych i funkcjonalnych metropolii.

Jubileuszowa edycja 4 Design Days potwierdza, że Katowice na początku roku ponownie staną się miejscem ważnych rozmów o przyszłości przestrzeni, w której żyjemy i pracujemy. Rejestracja uczestników trwa na stronie organizatora.

CZERWONE DYWANY, MROCZNY FIOLET, WIĘCEJ ŚWIATŁA, CZYLI KOŁOROWY ŚWIAT POWIEŚCI AGNIESZKI LIS

Rozmowa z pisarką Agnieszką Lis, pochodzącą z Koszalina, o tym, jak minęła jej końcówka 2025 roku i co szykuje dla swoich czytelników w roku 2026.

Anna Czerny-Marecka

Ostatnie tygodnie minionego roku spędziła pani na premierach filmu „Piernikowe serce” Piotra Wereśniaka opartym na pani książce „Marcepanowa miłość”. Jak to wyglądało?

Najpierw, 17 listopada, był pokaz prasowy w warszawskim kinie Atlantic. Potem odbyło się kilka pokazów przedpremierowych. Pierwszy w Grudziądzu, ponieważ z tamtych okolic pochodzi producent, który najwyraźniej ma podobny sentyment do miejsca swojego urodzenia, jak ja do Koszalina. Oficjalną premierę zorganizowano w Warszawie, w Złotych Tarasach, 24 listopada. Były gwiazdy, ścianka, reporterzy. Premierę zorganizowano z ogromnym rozmachem! Dla mnie obecność tam to było ogromne przeżycie. Film pokazano także, poza konkursem, na festiwalu Camerimage w Toruniu. W tym mieście właśnie toczy się akcja „Piernikowego serca”. Takiej przepięknej reklamówki filmowej nie ma chyba żadne inne miasto w Polsce. A kiedy ja zdałam sobie sprawę, że jesteśmy na największym światowym festiwalu operatorów filmowych, stricte branżowej, bardzo elitarniej imprezie, to nogi się pode mną ugęły. Bo wie pani, sala na 750 osób, bardzo międzynarodowe i bardzo wymagające, wyrobione towarzystwo. Byłam przerażona. Po wizycie na czerwonym dywanie, super eleganckim przedstawieniu całej ekipy, po wywiadach, ściankach i tak dalej, postanowiłam obejrzeć film po raz kolejny. Usiadłam w fotelu dokładnie na króliki siedziały na kanapie. Gdy jedna wstawała, by otworzyć drzwi, rozlegały się brawa. Ścieżka dialogowa była pocięta, tak jakby ktoś porozrzucał beładnie pytania i odpowiedzi. To był kompletny abstrakt. A my... przyjechalismy z komedią! Taką ciepłą, serdeczną, bożonarodzeniową. Mróz mi przeszedł po kręgosłupie, tak się zestresowałam. Faktycznie, sam początek był trudny. Publiczność musiała przestawić się

z tego bardzo wyrafinowanego, niezwykle wymagającego obrazu na coś, co jest komediowe, trochę wzruszające, świąteczne. Jednak kiedy pojawiły się pierwsze zdjęcia Torunia, zrobione z drona, a potem z kamery na wysięgniku, to widzowie zaklaskali, doceniając pracę operatora. A potem się rozkręcili, było dużo śmiechu i brawa na koniec. Wyszłam z tej imprezy z poczuciem, że to jest film, który się obroni w każdych warunkach. Będzie odpowiedni zarówno dla widza, który potrzebuje po prostu się pośmiać, odpocząć, trochę wzruszyć, jak i dla tego, który poszukuje czegoś więcej.

Dużo zostało w tym filmie z pani powieści?

Wątki powieściowe zostały dopasowane do potrzeb produkcji filmowej. Są w niej także motywy z innych moich świątecznych książek. Wiadomo, fabuła filmowa rządzi się innymi prawami niż literacka. Natomiast bohaterowie pozostali tacy, jakimi ich stworzyłam. Jedno ważne imię zostało zmienione, bo w książce nastoletnim bohaterem jest Norbert, a w filmie Janek. Producenci uznali, że Norbert jest po prostu mało filmowe. Trochę mi go było szkoda, bo akurat ja z różnych przyczyn to imię lubię. Natomiast faktycznie, charakterystyki postaci, ich osobowości, sposób zachowania - są takie, jakie ja wymyśliłam. W którymś z wywiadów reżyser Piotr Wereśniak powiedział, że ci bohaterowie zostali tak w powieści wykreowani, że nie było co zmieniać. Ich trzeba było po prostu wziąć i wykorzystać. I to był dla mnie ogromny komplement, że scenarzyści dokładnie tak postąpili - po prostu wzięli tych bohaterów i wykorzystali od A do Z.

Wygląda na to, że odebrała pani ten film z dużą radością, bo i pani się spodobał...

To było dla mnie pierwsze takie doświadczenie, więc zaufałam filmowcom i myślę, że dobrze się stało. Piotr Wereśniak mówił, że to jest film mieszczący się pomiędzy zwykłą komedią, bazującą na najprostszych emocjach, a czymś, co jest wy-



FOT. AGNIESZKA OLEK

Agnieszka Lis: pisarka poczytnych powieści obyczajowych, psychologicznych, kryminalnych, thrillerów i historycznych pochodzi z Koszalina. Obecnie mieszka pod Warszawą, gra na fortepianie, uczy muzyki i pisze kolejne książki

sokim, wymagającym kinem artystycznym. Ten film jest lekki, ale niesie ze sobą jakieś wartości, pewną ważną opowieść. Dla mnie właśnie ten „środek fabulamy” jest najcenniejszy, bo ja tam widzę swoje pisanie i swojego odbiorcę. I to, że film trafił dokładnie w to miejsce, jest spełnieniem moich marzeń, oczekiwań, pragnień. I w dodatku świetnie się sprzedał. Zdobył już około 200 tysięcy widzów, co jest naprawdę bardzo dobrym wynikiem. A przecież nie zniknie z ekranów, bo trafi na platformy streamingowe i zapewne na ekrany

telewizyjne, gdyż Telewizja Polska jest koproducentem.

Premiery, czerwone dywany, znalazła pani czas na pisanie? Czego możemy spodziewać się z początkiem tego roku?

Wydawcy nie dali mi wakacji w związku z tym, że miałam premierę filmu. I planów trochę mam. Na początku lutego ukaże się trzecia część trylogii „Światło” wydawanej przez Filię. Było „Ocalenie” i „Odkupienie”, będzie „Odrodzenie”. To jest cykl obyczajowy, którego akcja toczy się w czasie wojny, potem w odbudowującej się z gruzów Warszawie, a w trze-

ciej części przeniesiemy się w lata 50. XX wieku, czyli czasy komunizmu i silnych przekształceń kulturowych. Śledzimy losy Ewy, którą poznaliśmy w sierocińcu przed wojną. Los jej nie pobiła, szarpie ją na bardzo różne sposoby, ale na koniec... nie, nie mogę zdradzać końca tej historii. W każdym razie jest to powieść obyczajowa z wątkami silnie historycznymi. Potem, na początku kwietnia, ukaże się kolejny kolor, czyli następny thriller wydawany w serii wydawnictwa Purple Book. Po „Niebieskim”, „Czerwonym” i „Żółtym” będzie „Fioletowy”. Tekst jest już oddany, teraz będą trwały prace redakcyjne.

Akcja „Żółtego” toczy się w Bornem Sulinowie, czy z „Fioletowym” także zawita pani w rodzinne strony?

Nie, akcja Fioletowego toczy się na Kurpiach. Dokładnie Kurpiach Zielonych, bo stamtąd pochodził mój ojciec. I dlatego dla mnie to też była ważna, sentymentalna podróż. Nie za wiele wiedziałam o tym miejscu. Byłam tam może ze dwa razy. Raz z tatą, raz z moimi dziećmi. Pozwoliłam więc sobie skontaktować się z Muzeum Etnograficznym w Nowogrodzie. Otrzymałam tam niesłychaną pomoc i bardzo życzliwe wsparcie w śledzeniu wątków związanych z kulturą kurpiowską. Mogę zdradzić tylko tyle, że akcja jest dwutorowa: dzieje się współcześnie i zaraz po drugiej wojnie światowej. Wykorzystałam bardzo mroczną historię, którą znam z opowiadań mojego ojca. A współcześni bohaterowie to para nastolatków, na których ta historia mocno wpływa. Cała seria kolorowa oparta jest na założeniu wpływania na psychikę drugiego człowieka, ale wpływanie negatywnego, na manipulacji, na wykorzystywaniu drugiej osoby, nie mogło być inaczej także w przypadku tej części. No i oczywiście, skoro w tytule mamy fiolet, to i on się pojawia na różnych etapach powieści i w różnych postaciach. Głównym fioletowym wątkiem jest to, że część akcji toczy się na plantacji lawendy...

Znając pani pracowitość, myślę, że te dwie książki to dopiero początek...

Owszem. Będzie między innymi kontynuacja rozpoczętego w ubiegłym roku cyklu bajek wydanych w formie audiobooków. To jest odnowienie czegoś, z czym właściwie zaczęłam, bo te bajki dla przedszkolaków napisałam, kiedy mój dzisiaj prawie dwudziestoletni syn miał pięć lat i wtedy one wygrały konkurs na dobrą powieść w kategorii dla dzieci. To jest 15 parominutowych bajeczek. Ukazują się w częściach po trzy, czyta je Jacek Rozenek, a realizuje wydawnictwo Postępowe Studio. Bajki noszą tytuł „Alek i Pan Parasol” i już dostępne na platformie LEGIMI. A latem planuję kolejną książkę z wydawnictwem Filia i tutaj postanowiłam pójść tropem popularnej obecnie her story. Są już książki czy wystawy, których bohaterkami zostały zapomniane malarki czy rzeźbiarki, a ja postanowiłam napisać o kobietach w muzyce. Bo w tej dziedzinie sztuki też mamy postaci, które dokonały rzeczy wspaniałych, ale były kobietami, w związku z tym zostały kompletnie zepchnięte w niewidoczne rejony świadomości publicznej. Postanowiłam trochę się nad tym pochylić i latem planuję pierwszą część poświęconą kompozytorce, która się nazywała Tekla Bondarzewska.

Orany, autorka sławetnej „Modlitwy dziewicy”!

Cieszę się, że pani zna, a wie pani o niej cokolwiek więcej? Bo my, ludzie XXI wieku, o Tekli prawie nic nie wiemy. Są na jej temat tylko dwie książki autorstwa Beaty Michalec. Przez długi, długi czas myśmy nawet nie wiedzieli, gdzie ona się urodziła. Całe zamieszanie powstało stąd, że jej rodzina mieszkała w Mławie (i tam Tekla przyszła na świat), ale jej ojciec, kiedy ją rejestrował, był w Warszawie, bo tam załatwiał sobie pracę. On był urzędnikiem, to jest bardzo mało patriotyczne i mało nośne dzisiaj, carskim. Rodzina w ogóle była bardzo silnie związana z administracją carską, to był przecież czas zaborów. I ów ojciec, ponieważ akurat był w Warsza-

wie, to tam zarejestrował córkę. Dopiero przy akcie ślubu Tekli potwierdzono, że urodziła się w Mławie. Jest to też jedyne miejsce, gdzie możemy znaleźć odręczny podpis kompozytorki.

Dlaczego więc Tekla i czy będzie to powieść, czy oparta tylko na faktach biografia?

To, co wiemy o niej, chcę zbeletryzować - to, żeby w ogóle jej nazwisko zaczęło funkcjonować. Bo ona zrobiła nieprawdopodobną karierę. „Modlitwa dziewczyny” zawojowała absolutnie cały świat. A ta kompozytorka jest w Polsce nieznana, lekceważona. Więcej w Japonii wydano jej utworów, także nagrań, niż w Polsce. Właściwie w Polsce była traktowana przez krytyków jako takie tam, przepraszam, że użyję tego słowa, badiusz, disco polo XIX wieku, taka muzyka delikatna, raczej okolicznościowa niż koncertowa. I oczywiście tak, to jest lekka muzyka salonowa. Oczywiście to nie jest Chopin, natomiast trudno odmówić talentu Tekli Bondarzewskiej. I z całą pewnością nie można zapomnieć o tym, że zrobiła nieprawdopodobną karierę. Trochę poza swoją świadomością, bo czasy były takie, że nie do końca informacje o tej sławie do niej docierały. No i dosyć młodo zmarła, więc po prostu nie doczekała pewnych wyda-

rzeń. W każdym razie jest to postać, która mnie zainspirowała.

A jakiś kryminał? Może znów z udziałem koszalińskiej dziennikarki radiowej?

Kryminał planuję jesienią, ale będzie to początek nowej serii, której główną bohaterką będzie policjantka. I tu jeszcze za wiele powiedzieć nie mogę, bo to tak naprawdę przygotowałam dopiero wstępny koncept. To jest plan z wydawnictwem Purple Book. Serię z koszalińską Bożenką zakończyłam. Przynajmniej na razie ;-)

To jak to tak, rok wydawniczy bez Koszalina?

Na Koszalin mam inny plan. Mam nadzieję, że się ziści. Mianowicie we współpracy z koszalińskim Teatrem Propozycji Dialog im. Henryki Rodkiewicz chcemy wystawić sztukę, monodram oparty na jednej z moich książek, toczących się częściowo w Koszalinie i Sarbinowie, czyli „Pozytywce”. Jest już scenariusz, zaczęły się prace reżyserskie, więc projekt jest zaawansowany. To nie będzie moja pierwsza współpraca z tą sceną. W ubiegłym roku, w kwietniu, w teatrze „Dialog” został wystawiony mój monodram „Druga”, w którym gra Katarzyna Traczyńska, także z pochodzenia Koszalinianka, aczkolwiek, co brzmi trochę ironicznie, nie



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

„Piernikowe serce” Piotra Wereśniaka miało kilka premier, ale główna odbyła się w Złotych Tarasach w Warszawie. Agnieszka Lis wraz z ekipą filmowców była gościem honorowym jako autorka powieści „Marcepanowa miłość”, na której oparto film

spotkałyśmy w Koszalinie. Chociaż jesteśmy w bardzo podobnym wieku, nasze ścieżki zetknęły się dopiero w Warszawie.

No to rzeczywiście bardzo pracowity rok się pani zapowiada...

Powiedziałyabym, że dosyć przeciętny (śmiech). Są jeszcze drobniejsze rzeczy. Na przy-

kład opowiadanie dla wydawnictwa Rebel Rose, które szykuje antologię o miłości. Plus teksty w antologiach Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Stowarzyszenia Autorów Polskich czy grupy poetyckiej Kwadrat. Saram się zawsze brać udział w tych antologiach, to jest dla mnie wielka przyjemność. Tam są po prostu inne teksty, właściwie nowele,

PIERNIKOWE SERCE

„Piernikowe serce” to świąteczna komedia romantyczna z dużą dawką humoru, emocji i aromatu pierników! Pachnie cynamonem, rozbrzmiewa śmiechem i rozgrzewa serca nawet najbardziej skłóconych bohaterów.

Opis: Justyna i Czarek wracają z synem Jankiem do rodzinnego domu w Toruniu, gdzie czeka ich nie tylko konfrontacja z przeszłością, ale też szansa na nowy początek. Janek zaprzyjaźnia się w Toruniu z Zuzą. Dagmara próbuje spełnić marzenie zmarłego ojca i otworzyć kawiarnię, choć życie nieustannie rzuca jej kłody pod nogi. Samanta i Paweł, sąsiedzi z temperamentem, wnoszą do tej układanki mnóstwo koloru, energii i nieoczekiwanych zwrotów akcji.

To film o rodzinie, miłości i drugih szansach. O tym, że nawet jeśli wszystko się sypie, święta potrafią posklejać to, co najważniejsze. Bo przecież w święta wszystko jest możliwe – nawet cud.

Reżyseria Piotr Wereśniak. Scenariusz Michał Zasowski i Marta Nowakowska.

Występują: Jakub Strach, Weronika Mania, Stefan Pawłowski, Olga Boładź, Katarzyna Żak, Barbara Kurdej-Szatan, Piotr Głowacki, Dorota Zięciowska, Małgorzata Socha, Mikołaj Roznerski, Bogdan Kalus.

Premiera: 28 listopada 2025.

bardziej artystyczne, bardziej wymagające, takie do pomyślenia. To inne pisanie, inna literatura. Ja ten gatunek lubię, bardzo mi odpowiada i bardzo chętnie do tych piszę. Ciesząc się oczywiście każdorazowo, że mnie do nich wciąż zapraszają.

Zaczęłyśmy od książki świątecznej, to i tak wypadłoby

skończyć. Będzie dalszy ciąg sfilmowanej „Marcepanowej miłości”?

Będzie książka zimowa, trochę świąteczna, ale z nowej serii. Nie planuję kontynuacji przygód poprzednich bohaterów, przynajmniej na razie od nich odpoczywam. Będzie zupełnie inny koncept i inne miejsce. Ale wierzę, że również spodoba się Czytelnikom. ©©

REKLAMA

0011461217

Wybieramy najpiękniejsze zdjęcia miast w dobroczynnym konkursie „Świeć się z Energią”. Głosujcie i pomagajcie, to już ostatnie dni!

Miejscowości w całej Polsce wciąż są rozświetlone i pełne blasku. Możecie je podziwiać także w naszej świątecznej galerii fotografii i głosować. Bo w konkursie „Świeć się z Energią” nie chodzi tylko o piękne iluminacje. Chodzi o coś znacznie ważniejszego - o rodziny, seniorów, dzieci... O potrzebujących, którzy dzięki Waszemu zaangażowaniu już wkrótce mogą otrzymać wsparcie.

Każdy głos ma znaczenie, każdy głos to szansa dla miasta na wygraną w dobroczynnym plebiscyście. Wasze zaangażowanie może odmienić codzienność wielu osób, które znalazły się w trudnej sytuacji. Pokażcie, że lokalna społeczność to ogromna siła i do 21 stycznia codziennie oddajcie na stronie internetowej naszego dziennika 10 bezpłatnych głosów. Mobilizujcie rodzinę, zachęcajcie do tego znajomych, koniecznie udostępniajcie plebiscytowe posty w mediach społecznościowych!



Dwa etapy konkursu z wyjątkowymi nagrodami

Do wojewódzkiego etapu konkursu trafi 16 miejscowości, a każda z nich otrzyma od Energi nagrodę o wartości 10 tys. zł na zakup sprzętu AGD: lodówek, pralek,

zmywarek, blenderów... Ten zaś zasili miejsca, w których jest najbardziej potrzebny - trafi do domów pomocy społecznej, placówek edukacyjnych i opiekuńczych, a także do osób zmagających się z codziennymi wyzwaniami.

Zwycięskie samorządy zdecydują, gdzie dokładnie popłynie ta pomoc. W kolejnej odsłonie - już w wielkim finale - miasta będą się ubiegały o tytuł Świetnej Stolicy Polski. A stawka jest naprawdę wysoka: to

dodatkowe 50 tys. zł wsparcia dla mieszkańców i lokalnych instytucji!

„Świeć się z Energią”. Razem możemy więcej

Od lat włączamy w tę akcję całe miasta - od największych

**Energia** | GRUPA RLEN

po najmniejsze. Wspólnie budujemy więzi, wzmacniamy poczucie wspólnoty i przypominamy, że w świątecznym i noworocznym czasie szczególnie warto być razem.

- Przez ponad 15 lat przekazaliśmy już pomoc o wartości ponad 2 milionów złotych. To piękna, wspólna energia. I bardzo konkretna dobroczynność. Jako Energia i Fundacja Energia robimy oczywiście dużo więcej, bo Energia włącza dobroczynność i prospołeczne działania przez cały rok - mówi Magdalena Marszałkowska, dyrektor Departamentu Marketingu Energi SA.

HALA IZERSKA: DOLNOŚLĄSKA SYBERIA

Zimą do Chatki Górzystów na Hali Izerskiej docierają głównie biegacze narciarscy. Latem ludzi jest dużo więcej, zwłaszcza odkąd modne stały się rowery elektryczne

Alina Gierak

Dzień zaczynają od kubka gorącej kawy. I to jedyne, co łączy pracowników Chatki Górzystów na Hali Izerskiej z mieszczuchami. Bo gdy my narzekamy na dziesięciostopniowy mróz i 10 cm śniegu, oni uważają, że to normalka. Dopiero przy temperaturze -30 st. C mówią, że ekstremalnie przymroziło. Jak im się żyje na dolnośląskiej Syberii?

Chatkę Górzystów na Hali Izerskiej znają biegacze narciarscy, rowerzyści i piesi turyści. To jest ich ulubiony przystanek podczas wędrówek od stacji Orle lub od przystanku kolei gondolowej na Stogu Izerskim.

Zimą i latem zawsze jest tu sporo ludzi. Przyciąga ich niepowtarzalna atmosfera miejsca, przyjaźni ludzie i słynne naleśniki z jagodami.

Mieszczuchy o Chatce Górzystów słyszą podczas komunikatów meteorologicznych i rekordach zimna. 7 stycznia 2026 r. na Hali Izerskiej odnotowano -31,7 st. C. Takie temperatury robią wrażenie nawet na Kacprze, pracowniku schroniska Chatka Górzystów.

33-latek, z którym rozmawiamy o codzienności w schronisku Chatka Górzystów, jest jednym z jego pięciu pracowników. Pracuje tu od roku, ale jego koleżanka i koleżdy spędzili tu po 10 lat i więcej.

- To nie jest wieś każda inna. Ale to nie mróz dokucza nam najbardziej. Do niskich temperatur można się przyzwyczaić i minus 20 nie robi na nas wrażenia. Wystarczy się odpowiednio ubrać - przekonuje Kacper.

Najbardziej dotkliwy jest brak miejsca, ciasnota i monotoność. Kacper porównuje to do pobytu na statku lub na stacji badawczej na Spitsbergenie. Te same twarze, te same czynności. Są na siebie skazani prawie 24 godziny na dobę.

- Nie romantyzujmy. Praca w schronisku to ciężka fi-

zyczna harówka - podkreśla Kacper.

Kuchnia w Chatce Górzystów zaczyna pracę od godz. 8.15. Wydają śniadania, przygotowują dania obiadowe, w tym ciasto na słynne naleśniki. Ruch jest na okrągło.

Zimą na Halę Izerską docierają głównie biegacze narciarscy. Pieszych turystów jest mało, bo to 3, 4-godzinna wyprawa w jedną stronę. Latem ludzi jest dużo więcej, zwłaszcza odkąd modne stały się rowery elektryczne. Bywa, że w kolejce po naleśniki stoi się ponad godzinę. Zimą turyści pojawiają się w czasie ferii i potem sezon już hula na całego.

- Nawet przy dwumetrowych zaspach nie jesteśmy odcięci od świata. Tak może było dekady temu - Kacper obala kolejną panującą powszechnie opinię.

Teraz do dyspozycji mają skuter śnieżny i samochód z gąsienicami. Robią normalnie zakupy, przywożą z dołu co kilka dni zapasy produktów i środków higieny. W schronisku może nocować 40 osób. Trzeba dla nich przygotować pokoje i posiłki. Niekiedy odśnieżyć wejście. Pilnować, by było ciepło (działa centralne ogrzewanie i kominek w sali głównej). Obsługi wymaga infrastruktura (śmieci, ogrzewanie, sprzątanie). Nikt z załogi Chatki Górzystów nie ma czasu na podziwianie zimowych krajobrazów.

Co robią w czasie wolnym? Czytają, rozmawiają z turystami, grają na gitarze, oglądają filmy. Każdy ma jakąś ulubioną aktywność. Kacper lubi spacerować i narty. To mu się nigdy nie znudzi. I to są rzeczywiście czasami magiczne chwile.



Chatka Górzystów to jedyny budynek, który ocalał po miejscowości Gross Iser

Niebo na Hali Izerskiej to jedno z najciemniejszych miejsc w Europie, co czyni ją idealnym miejscem do obserwacji gwiazd.

Kacper tym się jednak nie entuzjazmuje. Dla niego najważniejsze jest, by odetchnąć, odpocząć od gwaru kuchni i schroniska, nacieszyć się ciszą przed kolejnym dniem. Jak zapewnia, wcale nie rozpoczyna go od spoglądania na termometr.

Chatka Górzystów - jedyna ocalała w osadzie Gross Iser

Historia budynku schroniska jest intrygująca. To bowiem jedyny dom, jaki został z miejscowości Gross Iser. Wioska została założona w 1630 roku przez ewangelickiego uchodźcę o imieniu Thomas. Stopniowo dołączali do niego

kolejni osiedleńcy. Mieszkańcy osady żyli biednie, a utrzymywali się z wypasu bydła i owiec, produkcji serów, przędzenia wełny czy też połowu pstrągów.

Wraz z rozkwitem Świeradowa-Zdroju jako uzdrowiska w drugiej połowie XIX wieku rozbudowała się też Wielka Izera. Osada stała się ulubionym miejscem wycieczek kuracjuszy. W latach 30. XX wieku w Gross Iser były 43 domy mieszkalne, 3 gospody, 2 schroniska, 2 celnice, kawiarnia, leśniczówka, straż pożarna, domek myśliwski oraz stara i nowa szkoła. Sielankę przerwała II wojna światowa.

W latach powojennych mieszkańców wysiedlono, a większość budynków rozebrano, prawdopodobnie na rozkaz wojska. Przetrwał tylko gmach szkolny, który zo-

stał zdewastowany i ogołcony.

W 1991 roku budynek kupił Wiesław Polańska, która wraz z mężem wyremontowała go i otworzyła schronisko Chatka Górzystów. Mieszkali tu przed wiele lat z dwójką dzieci. Teraz przenieśli się na dół i do schroniska przyjeżdżają od czasu do czasu.

Słynne naleśniki

W Chatce Górzystów zjecie bigos, pierogi, żurek i inne zupy i dania. Ale największą sławę przyniosły im naleśniki z jagodami. Puszyste ciasto z serowym nadzieniem z jagodami smakuje wyśmienicie.

- Jagody zbieramy latem i sami przetwarzamy. Potem wystarczy tylko odkręcić słoik z konfiturą - mówi pan Kacper.

Kiedy jeszcze na Hali Izerskiej istniała wioska Gross Iser, mieszkał w niej Paul Hirt, który prowadził schronisko Gross Iserbaude. Organizował on teatr dla dzieci i był powszechnie lubianą osobą. Kiedy w 1945 r. do Gross Iser wkroczyli Rosjanie, rozstrzelali go i zabronili pochować ciało na cmentarzu.

Kiedy Wiesława Polańska zamieszkała w chatce, zaczęła drążyć historię Gross Iser. Okazało się, że Paul Hirt spoczywa w miejscu rozstrzelania, czyli na łące nieopodal chatki. Postawili mu krzyż, później kamień z tabliczką.

- Przepis na słynne naleśniki zaginął podczas wojny, ale któregoś dnia dostałam natchnienia i upiekłam przepyszne słodkości. Myślę, że to duch Paula Hirta, wdzięczny za postawienie mu nagrobka, podszeptał pani Senderowej, aby podzieliła się ze mną sławnym przepisem - wspominała pani Wiesława.

W czym tkwi sekret naleśników? To przede wszystkim jagody z Hali Izerskiej przyrządzane domowym sposobem, naturalne produkty i kaflowy piec.



Rok 2024. Wiesława Polańska, właścicielka Chatki Górzystów, odbiera defibrylator, by zamontować go w budynku

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne lub nekrolog?

Przez internet: ibo.polskapress.pl
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl

ZIELONA GÓRA al. Niepodległości 25
czynne pon.-pt. 8.00-15.00
tel. 510 026 976
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl

NASZE BIURA OGŁOSZEŃ

GORZÓW WLKP. ul. Sikorskiego 111 (Park 111, II p.)
czynne pon.-pt. 8.00-16.00
tel. 510 026 986
e-mail: bog.gazetalubuska@polskapress.pl

SŁUBICE ul. T. Kościuszki 6/1
czynne pon.-pt. 8.30-16.30
tel. 95 75 80 760
e-mail: bos@gazetalubuska.pl

RUBRYKI I PODRUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH

NIERUCHOMOŚCI

- mieszkania - sprzedam
- mieszkania - kupię
- mieszkania - do wynajęcia
- mieszkania - wynajmę
- mieszkania - zamienię
- domy - sprzedam
- domy - kupię
- domy - do wynajęcia
- domy - wynajmę
- domy - zamienię
- lokale użytkowe - sprzedam
- lokale użytkowe - kupię

- lokale użytkowe - do wynajęcia
- lokale użytkowe - wynajmę
- lokale użytkowe - zamienię
- działki, grunty - sprzedam
- działki, grunty - kupię
- gospodarstwa
- garaże
- pośrednictwo
- inne
- bank stancji

HANDLOWE

- AGD
- RTV

- elektronika, komputery
- telefony
- car audio
- antyki
- kolekcjonerstwo, sztuka
- jubilerstwo
- filmy, muzyka
- foto, książki
- instrumenty muzyczne
- lombardy
- sport i rekreacja
- maszyny urządzenia
- materiały budowlane
- materiały opałowe

tekstylia, odzież

- dla dziecka
- meble
- inne

MOTORYZACJA

- samochody osobowe
- ciężarowe, dostawcze
- busy autobusy
- rolnicze
- przyczepy, naczepy
- zabytkowe
- uszkodzone, rozbite
- motocykle
- części i akcesoria

- zamienię
- motofinanse
- motousługi
- inne

FINANSE BIZNES

- kredyty, pożyczki
- usługi finansowe
- usługi prawne
- biura rachunkowe
- ubezpieczenia
- oferty
- inne

NAUKA

- szkoły
- kursy/szkolenia

- języki obce
- korepetycje
- inne

PRACA

- zatrudnię
- urzędy pracy
- szukam pracy
- inne

ZDROWIE

- apteki
- pomoc całodobowa
- chirurgia
- ginekologia
- interna
- neurologia

- pediatria
- psychologia
- psychiatria
- stomatologia
- urologia
- inne specjalizacje
- przychodnie, kliniki
- laboratoria
- zabiegi
- opieka
- sprzęt medyczny
- uroda
- inne

USŁUGI

- agd rtv foto
- budowlano-remontowe

- instalacyjne
- biurowo - projektowe
- komputerowe
- krawiectwo
- montażowe
- ogrodnicze
- porządkowe
- przeprowadzki
- reklamowe
- stolarskie
- radio taxi
- transportowe
- rozrywka
- uroczystości
- zabezpieczające
- inne

TURYSTYKA

- agroturystyka
- kraj
- świat
- biura podróży
- obozy i kolonie
- wycieczki
- przewozy
- inne

ZWIERZĘTA

- lecznicze
- usługi
- inne

MATRYMONIALNE

RÓŻNE

KOMUNIKATY

ŻYCZENIA/PODZIĘKOWANIA

GASTRONOMIA

- dania na telefon
- usługi
- inne

ROLNICZE

- maszyny rolnicze
- ogrodnictwo
- plody rolne
- zwierzęta hodowlane
- inne

TOWARZYSKIE

USŁUGI KAMIENIARSKIE

USŁUGI POGRZEBOWE

REKLAMA 0011463148

AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

Dyrektor Oddziału Regionalnego Agencji Mienia Wojskowego w Zielonej Górze

zgodnie z art. 35 ust. 1 Ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz.U. z 2024 r. poz. 1145 z późn. zm.)

podaje do publicznej wiadomości informację o zamieszczeniu **na okres 21 dni wykazu:**

- części nieruchomości oznaczonej jako działka o numerze **2419/3**, położonej w **Żaganie** przy ul. **Bolesława Kędzierzawego**, o pow. **161,50 m²**, przeznaczonej do wynajęcia w trybie bezprzetargowym.

Wykaz został wywieszony na tablicy ogłoszeń w siedzibie Oddziału przy ul. Zjednoczenia 104 w Zielonej Górze oraz zamieszczony na stronie internetowej amw.com.pl i w Biuletynie Informacji Publicznej. Dodatkowe informacje można uzyskać pod numerem tel. 68 411 96 44.

Oddział Regionalny AMW w Zielonej Górze
ul. Zjednoczenia 104, 65-120 Zielona Góra
sekretariat: tel. 68 411-96-00 • kancelaria: tel. 68 411-96-07, faks 68 411-96-12
e-mail: zielonagora@amw.com.pl • www.amw.com.pl

REKLAMA 0011459133

ZŁOMOWANIE POJAZDÓW
tel. 600 609 606

Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem

Cenimy Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

REKLAMA 0011457167

INFORMATOR POGRZEBOWY

AD PATRES (J. Mądry) przewóz zmarłych całą dobę, bezgotówkowa organizacja pogrzebów, Zielona Góra, ul. Wrocławska 68, tel. **68-3208517, 601760685**.

MIEJSKI ZAKŁAD POGRZEBOWY Zielona Góra, Masarska 13, tel. **68-3202235, 68-3202232**, przewóz zwłok, kompleksowa obsługa pogrzebów **601798365** całą dobę.

KAMIŃSCY Zielona Góra, ul. Kościelna 4, Zyty 19, tel. **693 424 440; 68-3230509** oraz Polkowice ul. Spokojna 1; Legnica ul. Chojnowska 7; Szprotawa ul. Kościuszki 31A przewóz zmarłych 24 godz., kompleksowa organizacja pogrzebów oraz transmisja pogrzebu online.

PRO MORTE Gorzów Wlkp. ul. Żwirowa 19E, tel. **95-7810083**
Organizacja Pogrzebów, Pogotowie Pogrzebowe 24 h.



0011463286

Nie umiera ten, kto żyje w pamięci.

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 12 stycznia 2026 r. w wieku 86 lat odeszła do Pana nasza ukochana
Mama, Babcia, Prababcia i Teściowa



Stanisława Poniedziałek

Uroczystości pogrzebowe odbędą się
19 stycznia o godz. 11:50 na Starym Cmentarzu
Komunalnym w Zielonej Górze

Pogrążona w smutku Rodzina

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ każde Mieszkanie lub Dom z dowolnym problemem prawnym, też Udziały, możliwa zamiana tel. 513474366, www.lcf.com.pl

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

MASZYNĘ do szycia Łucznik, w dobrym stanie, za przystępną cenę
SPRZEDAM tel. 604 996 060

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

FUNDUSZPOŻYCZKOWY oferuje pożyczki do 300 tys. zł na 60m-cy, oprocentowanie od 5,30%, bez żadnych dodatkowych opłat i prowizji na cele związane z rozwojem działalności gospodarczej na terenie Województwa Lubuskiego. Źródło finansowania: Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego UE i Zarząd Województwa Lubuskiego Tel. kontaktowy +48 600 052 223, k.joachimczak@ecd.f.pl

Praca

ZATRUDNIĘ

PRACA dla mężczyzny w firmie ogrodniczej. Wymagane prawo jazdy kat. B. TEL. 602-268-058

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

REMONTY od zaraz. Tel. 724-083-883

MONTAŻOWE

OKNA, bramy drzwi, roletki, naprawy okien, montaż PlastMat. Tel. 68 470 19 70, Wrocławska 35.

OKNA- rolety. Montaż- regulacja- naprawa. Ptasia 32/7B, tel. 535 530 555

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus Wielkanocny, 1400 zł, w górach koło Wadowic, tel.: 501-642-492

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI, 881-934-948

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURKI nioski z jajem dowóz 600539790

AUTOREKLAMA

ibo

TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Kondolencje i nekrologi

w Twojej gazecie zleisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

Krzyżówka panoramiczna

spec od drobno-ustrojów

urząd w porcie

przywidenie miasto na Honsiu

papier na ścianie

10 przy-każ

narzędzie zeńca flisak

tkanina jedwabna

chorobliwe przywidenie

martel w barku

z pięta zajazd dla kierowców

przenośnik walkowy

klasztor pustelników

konkurent

ogonek wieńcówki

skaza na honorze

szturm, natarcie

śnieg lub grad

wieńczy skronie zwycięzcy

13

8

6

1

16

19

7

5

17

4

3

12

10

14

15

jednostka informacji

rzeczywistość

propagator idei

rów obronny

głębia obrazu

indywiduum

siostra Baala

piytka czekolady

zakład z trakami

ziemny nasyp

osoba otrzymująca prawa do węgla

architektoniczny łuk

posag panny młodej

prawna lub fizyczna

rzeka na Zakaukaziu

dawka leku

nóż ogrodniczy

roślina oleista

dawne liczydło

grecka litera

spotkanie zakonnych

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

Uśmiechnij się!

Nie wie pan, czy tu nie stała zabytkowa kapliczka?

Odkąd sięgam pamięcią to jej tu już nie było.

A pan tu od urodzenia?

...

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą rozwiązanie – dokończenie dowcipu z okienka.

Krzyżówka A-Ż

Każdy odgadywany wyraz (w nawiasie liczba liter) zaczyna się literą poprzedzającą określenie. Miejsce wpisywania – do odgadnięcia. Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

- A) mieszkanka Kuwejtu (6).
- B) mądrości nie dodaje (5).
- C) tradycyjne, kruche karnawałowe ciasto (6).
- D) James, aktor z filmu „Olbrzym” (4).
- E) stan radosnego podniecenia, zachwyty (7).
- F) elewacja budynku (6).
- G) podziemny w galerii handlowej (5).
- H) ludowy taniec kubański, podobny do tanga (8).
- I) egipska bogini, żona Ozyrysa (5).
- J) James, autor powieści „Ulisses” (5).
- K) deszczulka z twardego drewna do układania posadzek (6).
- L) wije się wśród francuskich

Ż

A

zamek

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Z

Ż

Krzyżówka z hasłem

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

Rozwiązaniem jest aktualne hasło, które powstanie z liter w polach ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 17.

- Poziomo:
- 1) nadprzyrodzone zjawiska,
- 8) nie boi się ryzyka,
- 9) na czele wyższej uczelni,
- 10) szatan, diabeł,
- 11) pas lub lina w przekładni,
- 13) agent pozyskujący klientów,
- 16) mini półwysep,
- 20) osika albo białodrzew,
- 21) uczony, myśliciel,
- 22) mąż tuż po ślubie,
- 23) oręż żołnierza,
- 24) w lampie Łukasiewicza.
- Pionowo:
- 2) wiraż na drodze,
- 3) zielona pora roku,
- 4) chroni posta,
- 5) Daniec lub Górski,
- 6) komórka przy uchu,
- 7) najlepiej smakuje z kapustą,
- 12) runda wokół boiska,
- 14) bezduszny biurokrata,
- 15) jedno z imion Norwida,
- 17) dawna spiżarnia,
- 18) owad podobny do komara,
- 19) dłoń złożona do chwytania.

czapka Tatarska

oddany na bramkę

sport walki

Robert, aktor z USA

ślawi wierszem lub prozą

WIRÓWKA PANORAMICZNA

miejsce pracy murarza

tkanina podobna do aksamitu

kałamarnica

Katarzyna Wielka

Stanisław, reżyser „Misia”

Początek wpisywania odgadniętych wyrazów w polach z kreską, kierunek zegarowy. Litery w oznaczonych polach, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie – tytuł filmu.

Duet jolek

W

I

A

T

R

M

O

R

Z

A

W diagramach ujawniono niektóre litery. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 16, utworzą rozwiązanie.

- W przypadkowej kolejności:
- włókno na sweter
- mieszkanka kraju w Pirenejach
- spadające gwiazdy
- siostra zakonna
- przylepiec w apteczce
- wypływa z dyskusji
- Hans, twórca obrazu „Zwastowanie”
- dawny klub towarzyski
- Henri, reżyser „Ceny strachu”
- Whitney, piosenkarka z USA
- część kaloryfera
- śpiewała przebój „Na pierwszy znak”

Logogryf

1

2

3

4

5

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: tytuł filmu.

- 1) Kazimierz, postać z „Emancypantek”,
- 2) bajeczność barw i światła,
- 3) niewierzący, ateista,
- 4) w parze z Mazurami,
- 5) towarzyszy burzy.

Szyfr

10

6

13

17

2

1

8

14

16

9

12

3

4

5

7

11

15

Litery z pól od 1 do 17 utworzą rozwiązanie – tytuł filmu.

- Poziomo:
- 6) szachowy pionek,
- 12) błotnista kałuża.
- Pionowo:
- 10) chleb syryjski,
- 2) Kia..., auto z Korei,
- 8) port nad Donem.

Krzyżówka

1

2

3

4

5

6

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 6, utworzą rozwiązanie.

- Poziomo:
- 4) stado 5 i 6,
- 5) samiec w 4,
- 6) samica w 4.
- Pionowo:
- 1) gruszką miłosna, oberżyna,
- 2) drobny jasnofioletowy kwiat, gatunek astra,
- 3) wielbłąd dwugarbny.

Rozwiązania

Krzyżówka panoramiczna: „Wzrostaj przyjeżdżając”. Logogryf: „Nostalgia wampirów”. Szyfr: „Krajobraz pod bitwą”. Duet jolek: „Nostalgia wampirów”. Krzyżówka z hasłem: „Wzrostaj przyjeżdżając”. Krzyżówka: „Wzrostaj przyjeżdżając”. Krzyżówka A-Ż: „Wzrostaj przyjeżdżając”.

SL	OWNER/	AC	TON	AR	WAY	BR	ANCO	W	HER	ER	AND
----	--------	----	-----	----	-----	----	------	---	-----	----	-----

ROZWIĄZANIE: UNIKAC TRUDNOŚCI TO CIĘŻKA PRACA.

Koci finał Pucharu Narodów Afryki 2025: „Lwy Tarangi” kontra „Lwy Atlasu”

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Senegal i reprezentacja gospodarzy zagrają w niedzielny finał Pucharu Narodów Afryki 2025 w Maroku. Dzień wcześniej w meczu o trzecie miejsce zmierzą się Egipt i Nigeria.

W pierwszym półfinale Senegal pokonał w Tangerze Egipt 1:0 po trafieniu w 78. minucie Sadio Mane, byłego skrzydłowego Liverpoolu, gdzie grał w ataku u boku napastnika „Faraonów” Mohameda Salaha.

Mane, który ogłosił, że PNA 2025 w Maroku będzie jego ostatnim w karierze, sforsował „autobus”, jaki Egipcjanie postawili przed swoją bramką. „Salah w spotkaniu nie dotknął ani razu piłki w polu karnym „Lwów Tarangi”. Zawiodł także gwiazdor Manchesteru City Omar Marmoush.

Z kolei gospodarze – „Lwy Atlasu” – w Rabacie mieli wyraźną przewagę w starciu z Nigerią. Oddali 16 strzałów, a ry-

wale 2, ale awans wywalczyli dopiero po konkursie rzutów karnych, w którym zwyciężyli 4:2, a dwie „jedenastki” obronił specjalista od karnych Yassine „Bono” Bounou, wybrany MVP meczu. Po 90 minutach oraz dogrywce był bezbramkowy remis.

Obaj finaliści staną przed szansą na swój drugi triumf w tym turnieju. Senegal wywalczył jedyny dotychczasowy tytuł w 2022 roku w Kamerunie, a Maroko czeka na taki sukces od 50 lat.

Ciekawe, Senegal z Marokiem w PNA zmierzą się ze sobą po raz pierwszy w historii.

Pokonani w półfinalach zagrają w sobotę w Casablance o brązowy medal. Mecz o tytuł odbędzie się dzień później w Rabacie.

PUCHAR NARODÓW AFRYKI

Półfinał: Senegal - Egipt 1:0 (Mane 78), Nigeria - Maroko 0:0 (karne 2-4).

Mecz o 3. miejsce: Egipt - Nigeria (sobota, 17 stycznia, godzina 17).

Finał: Senegal - Maroko (niedziela, 18 stycznia, godzina 20). ©



Wielka trójka Marokańczyków: bramkarz Yassine Bounou, trener Walid Regragui i kapitan Achraf Hakimi

Iga, „Hubi” i pozostali Polacy poznali rywali w Melbourne

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

TENIS. Iga Świątek rozpoczyna się w niedzielę Australian Open rozpocznie od meczu z kwalifikantką, Chinką Yue Yuan. Losowanie drabinek turnieju głównego odbyło się w czwartek.

Iga Świątek w pierwszej rundzie Wielkiego Szlema w Melbourne trafiła na Yue Yuan, która plasuje się na 130. miejscu w światowym rankingu, ale była w nim niegdyś 36. Iga z 27-letnią Chinką zmierzyła się dotychczas raz: pokonała ją 6:0, 6:3 w drugiej rundzie imprezy WTA w Pekinie. Najlepszym wynikiem Yuan w Wielkim Szlemie pozostaje trzecia runda w Nowym Jorku z 2022 roku.

W przypadku wygranej w drugiej rundzie na Świątek czekać będzie ewentualnie Czeszka Marie Bouzkova (45. WTA) bądź Meksykanka Renata Zarazua (84. WTA).

W „czwartce” polskiej wiceliderki światowego rankingu znalazły się między innymi Rosjanka Ludmiła Samsonowa, Japonka Naomi Osaka (prowadzona przez byłego trenera Świątek Tomasa Wiktorowskiego), Szwajcarka Belinda Bencić, z którą kilka dni temu przegrała w trakcie United Cup, ale przede wszystkim rozstawiona z „piątką” Jelena Rybakina z Kazachstanu, która czekać może na Polkę w 1/4 finału.

Najmniej szczęścia w losowaniu miała z reprezentantów Polski Magda Linette. 33-letnia poznanianka, która wciąż uczestniczy w turnieju w Hobart, w Melbourne zacznie od pojedynku z rozstawioną z numerem 15. Amerykanką Emmą Navarro.

Będzie to ich druga konfrontacja; z byłą ósmą tenisistką



Iga Świątek i Hubert Hurkacz poznali swoich rywali po losowaniu drabinek singlowych gier w Australian Open

globu Polka zmierzyła się już w 2. rundzie turnieju w Toronto w 2024 roku i przegrała 2:6, 4:6.

Najlepsze osiągnięcie Linette w Melbourne i jednocześnie Wielkim Szlemie to półfinał edycji 2023. Navarro to z kolei półfinalistka US Open 2024, a przed rokiem w Australian Open osiągnęła ćwierćfinał, w którym gładko uległa... Świątek.

Z kolei Magdalena Fręch trafiła na 99. w świecie Veronikę Erjavec. Będzie to jej pierwszy pojedynek z grającą po raz trzeci w Wielkim Szlemie 26-letnią Słowenką.

Podopieczna trenera Andrzeja Kobierskiego, która z powodu lekkiego urazu, ale bar-

dziej profilaktycznie, wycofała się z imprezy w Hobart po wygraniu pierwszego spotkania, ma miłe wspomnienia z Melbourne. Dwa lata temu dotarła do 1/8 finału (czwarty etap), a przed rokiem odpadła rundę wcześniej. To jej najlepsze wyniki w zmaganiach wielkoszlemowych – razem z 3. rundą ubiegłorocznego US Open.

W kolejnej rundzie może na Fręch czekać Włoszka Jasmine Paolini (nr 7.).

W czwartek awans do zasadniczej części zmagania wywalczyła pochodząca z Czech, ale reprezentująca od ubiegłego roku Polskę Linda Klimovičova. Krótko przed ceremonią losowania Klimovičova wygrała

trzeci mecz w kwalifikacjach i po raz pierwszy w karierze przebiła się do głównej części zawodów wielkoszlemowych.

Po dołowaniu do drabinki głównej zwyciężczyni kwalifikacji okazało się, że Linda zagra z 25-letnią Brytyjką Francescą Jones, która zajmuje 69. lokatę na liście światowej. Reprezentantka Polski plasuje się 65 miejsc niżej.

Wracający do wielkoszlemowej rywalizacji po półrocznej przerwie Hubert Hurkacz na otwarcie zagra z 43. w rankingu ATP Belgiem Zizou Bergsem. Będzie to ich premierowe spotkanie.

W drugiej rundzie przeciwnikiem Wrocławianina może być Tallon Griekspoor, którego pokonał w United Cup, a na łączny bilans 4-2 składa się między innymi zwycięstwo przed rokiem w Melbourne, kiedy „Hubi” odpadł w drugiej rundzie. Rozstawiony z numerem 23. Holender musi wcześniej pokonać Amerykanina Ethana Quinna.

W Australian Open Hurkacz najdalej – do ćwierćfinału – dotarł w 2024 roku.

Kamil Majchrzak zmierzył się w pierwszej rundzie z Jacobem Fearnleyem. Polak zajmuje najwyższe w karierze, 58. miejsce w świecie, a Brytyjczyk jest aktualnie 77. tenisistą globu.

Do tej pory spotkali się raz: w 2024 r. w kwalifikacjach halowej imprezy w Sztokholmie górą był zawodnik z Worcester, który w czerwcu zeszłego roku na tydzień zagościł w TOP 50 rankingu ATP.

Zyciowym sukcesem 30-letniego Polaka w Wielkim Szlemie jest 1/8 finału ubiegłorocznego Wimbledonu. W Melbourne tylko raz – w 2022 roku – dotarł do drugiej rundy.

©

Bednarek bohaterem klasyku. FC Porto wyrzuciło Benfikę Lizbona

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

FC Porto awansowało do półfinału Pucharu Portugalii po wyeliminowaniu Benfiki Lizbona (1:0). Bohaterem został polski obrońca Jan Bednarek, który zdobył bramkę w pierwszym kwadransie.

Ćwierćfinałowemu hitowi na wypełnionym po brzegi Estádio do Dragão z ławki rezerwowych przyglądał się 17-letni skrzydłowy Oskar Pietuszewski, najdrożej sprzedany

piłkarz w historii Jagiellonii Białystok. Dla młodzieżowego reprezentanta Polski mógł to być wymarzony debiut, jednak trener Francesco Farioli najwyraźniej nie chciał rzucić go na (zbyt?) głęboką wodę. Zwłaszcza że FC Porto mierzyło się w klasyku z inną, równie utytułowaną ekipą – Benfiką.

Od pierwszej minuty na murawie oglądaliśmy dwóch czołowych reprezentantów Polski: Jana Bednarka i Jakuba Kiwiora. Wspólnie z legendą brazylijskiej piłki Thiago Silvą

nasi reprezentacyjni stoperzy współtworzyli blok defensywny.

Już w 15. minucie Bednarek wpisał się na listę strzelców. Środkowy obrońca najlepiej odnalazł się w polu karnym po dośrodkowaniu z rzutu różnego i skutecznym strzałem głową pokonał bramkarza Benfiki.

Podopieczni José Mourinho długimi momentami nie potrafili odpowiedzieć – nie tyle golem, co choćby celnym uderzeniem na bramkę Diogo Costy.

Po przerwie z powodu kontuzji plac gry musiał opuścić strzelec bramki – Bednarek. Jedynym Polakiem, który dotrwał do końcowego gwizdka, był zatem Kiwior.

To nie jego na koniec meczu uznano jednak bohaterem, a bardziej doświadczonego reprezentacyjnego kolegę, który zebrał najwyższe noty.

Portugalskie media zwróciły uwagę, że występ Bednarka nie był pozbawiony ryzyka. Już na początku spotkania środkowy obrońca popeł-

nił bowiem błąd, który musiał naprawiać faulem.

„Popełnił poważny błąd w 11. minucie, który naprawił faulem, za co został ukarany żółtą kartką i ryzykował nawet czymś więcej. Później przeszedł w tryb czysto pragmatyczny, skutecznie przerywając wszystkie akcje przed sobą i ostatecznie miał pozytywny wkład w zwycięstwo zespołu z Porto” – ocenił dziennik „A Bola”.

Z kolei Kiwiora media określiły mianem „hojnego dostarczyciela fauli”.

„Wbrew temu, do czego przyzwyczaił, był hojnym »darczyńcą« przewinień. Jego drużyna popełniła łącznie 22 faule w trakcie meczu. Podobnie jak jego rodak i partner z defensywy, Bednarek, nie przejmował się estetyką gry, co pozwoliło Diogo Coście mieć spokojniejszy wieczór. Szczególnie w pierwszej połowie zanotował także kilka udanych prób przy rozegraniu piłki” – podkreślono przy ocenach wystawionych w dzienniku „A Bola”.

©

Start zmienia życie przez sport. Zielonogórski klub ma 60 lat i mnóstwo sukcesów na koncie

Cezary Konarski
ckonarski@gazetalubuska.pl

SPORT NIEPEŁNOSPRAWNYCH. Na dziesięciu Igrzyskach Paraolimpijskich zdobyli 12 medali. Zielonogórcy sportowcy już 60 lat rywalizują na krajowych i międzynarodowych arenach.

Wszystko zaczęło się w 1965 roku, kiedy w 17 ówczesnych województwach powstały Międzyspółdzielniarne Ogniska Kultury Fizycznej Inwalidów. Pełniły one rolę koordynatora oraz organizatora sportu i rehabilitacji na szczeblach wojewódzkich. W Zielonej Górze MOKFI powołano 28 grudnia 1965 roku.

Pierwszy paraolimpijczyk wystartował w Toronto

- Wszystkie działania były prowadzone w kołach sportowo-turystycznych, które powstały przy spółdzielniach inwalidów i były skierowane do niepełnosprawnych pracowników tych spółdzielni - wyjaśnia Danuta Tarnawska, prezeska zielonogórskiego Zrzeszenia Sportowo-Rehabilitacyjnego Start, która ze sportowcami niepełnosprawnymi pracuje od ponad 50 lat. - Od początku istnienia Startu zawodnicy reprezentowali województwo zielonogórskie, uczestnicząc w mistrzostwach Polski w poszczególnych dyscyplinach sportowych. Zdobywali wiele medali w imprezach ogólnopolskich i międzynarodowych.

W latach 1965-1978 najbardziej wyróżniającym się zawodnikiem Startu Zielona Góra był Kazimierz Paruzel, sportowiec z podwójną amputacją podudzi. Reprezentował Polskę w pływaniu i lekkiej atle-



FOT. START ZIELONA GÓRA

60 lat minęło... jak jeden dzień. Start Zielona Góra obchodził w 2025 roku piękny jubileusz

tyce, uczestniczył w Igrzyskach Paraolimpijskich Toronto 1976.

- Później, w latach 80. XX wieku do krajowej czołówki należeli nasi siatkarze, z powodzeniem w zawodach międzynarodowych i krajowych startowali też lekkoatleci - mówi Danuta Tarnawska. - Aktywnie rozwijały się sekcje tenisa stołowego, pływania, strzelectwa. Sukcesy osiągała reprezentacja sportowców niewidomych w goallballu i piłce bramkowej.

Zielonogórcanie przetrwali trudne lata

W 1989 roku przestały istnieć struktury spółdzielcze na szczeblu centralnym i wojewódzkim, nastąpiła likwidacja wielu spółdzielni, a za tym

szedł brak finansowania jednostek Start w Polsce. Wiele stowarzyszeń przestało istnieć, nie wytrzymało tak trudnej sytuacji.

- Rada Wojewódzka WZSSP Start w Zielonej Górze również przeżywała kryzys. W 1994 roku została przekształcona w działające do dziś Zrzeszenie Sportowo-Rehabilitacyjne Start - tłumaczy Danuta Tarnawska. - Przetrwaliśmy trudne lata, prowadząc nieprzerwanie działalność we wszystkich ośmiu sekcjach sportowych. Tym bardziej wartościowe są wyniki, osiągane w tamtym czasie, m.in. brązowy medal Andrzeja Grenia w podnoszeniu ciężarów, zdobyty w 1992 roku na Igrzyskach w Barcelonie, czy jego cztery tytuły mistrza Eu-

ropy oraz medale mistrzostw świata. Z kolei cztery lata później w Atlancie Jan Maliszak wywalczył brązowy krążek razem z siatkarską reprezentacją Polski.

Wypuścili w świat wielu mistrzów

Po Igrzyskach Paraolimpijskich w Atenach w 2004 roku karierę sportową zakończył Andrzej Greń, ale po nim Start wypuścił w świat wielu utalentowanych sportowców, którzy dla klubu i kraju zdobywali mnóstwo nagród na najważniejszych imprezach. Do najbardziej utytułowanych - oprócz wyżej wymienionych - należą: Ewa Zielińska (lekkoatletyka), Kamila Kubas (parakajakarstwo), Arkadiusz Koselnik (siat-

kówka), Marek Trykacz (podnoszenie ciężarów), Mateusz Surwiło (parakajakarstwo), Szymon Sowiński (strzelectwo) oraz plejada tenisistów stołowych: Marcin Skrzynecki, Tomasz Jakimczuk, Igor Misztal i Piotr Grudzień. Ten ostatni stał się ikoną zielonogórskiego klubu. Na pięciu Igrzyskach zdobył sześć medali - dwa złote, srebrny i trzy brązowe. 34-latek nie zamierza zwalniać tempa, myśli o starcie za dwa lata na kolejnych Igrzyskach w Los Angeles.

- Jestem w Startcie już 18 lat, przychodziłem tu jako chłopak i tu dorastałem - wspomina Piotr Grudzień. - Ten czas szybko mi zleciał, przeżywałem wspaniałe chwile swojej kariery. Mam nadzieję, że nadal będę je przeżywał. Powodów do radości miałem bardzo dużo. Na myśl o medalach Igrzysk, które zdobyłem, zawsze się uśmiecham. Jeszcze chcę trochę pograć i powiększyć swoją kolekcję. Nie wiadomo, co przyniesie przyszłość. Wciąż mam w sobie werwę i ogień, ciągle lubię sport, nie zamierzam odkładać rakiетки na bok.

Szósta walczyła w Rio de Janeiro

- Największym osiągnięciem w historii klubu było uczestnictwo aż sześciu zawodników w czterech dyscyplinach sportu na Igrzyskach w Rio de Janeiro w 2016 roku - wylicza Danuta Tarnawska. - Nasi zawodnicy spisali się znakomicie, zdobyli trzy medale. Brąz Kamili Kubas w parakajakarstwie był pierwszym krążkiem, wywalczonym w tej dyscyplinie dla Polski.

Tak świetnych wyników z pewnością by nie było, gdyby nie wykwalifikowana kadra trenersko-instruktorska, pracu-

jąca z zielonogórskimi sportowcami.

- Wpływ na osiągnięcia ma również profesjonalizm i zaangażowanie psychologów czy fizjoterapeutów - mówi Danuta Tarnawska. - Nasz klub jest jednym z wiodących w Polsce. Naszym celem jest profesjonalizm prowadzonych zajęć, systematyczne uczestnictwo w wielu imprezach sportowych, organizowanie ich oraz uzyskiwanie coraz lepszych wyników, a co za tym idzie powoływanie zawodników do reprezentacji Polski. W 2025 roku do kadry narodowej było powołanych 13 naszych sportowców w siedmiu dyscyplinach. Duże znaczenie ma pozyskiwanie nowych niepełnosprawnych zawodników. Naszą dumą są najmłodsi: dzieci i młodzież, którzy rozpoczynają swoją przygodę ze sportem. Sukcesy sportowe zawodnicy zawdzięczają przede wszystkim sobie, swojej ciężkiej pracy i wytrwałości.

Nie tylko medale mają znaczenie

Danuta Tarnawska zauważa też: - Sport osób z niepełnosprawnościami to nie tylko wyzwanie, rekordy i medale. Zdobywają je najlepsi i najbardziej wytrwali zawodnicy. Nie wszyscy mogą być mistrzami z uwagi na swoje możliwości, niejednokrotnie związane z dysfunkcjami. Niewątpliwie jednak dla wszystkich sport jest jednym ze środków, który umożliwia pokonywanie barier, jest wspaniałą formą rehabilitacji ruchowej i społecznej. Prowadzimy takie działania, żeby sport pozwalał na aktywizację, integrację i włączenie tych osób w życie społeczne. Tworzymy wspaniałą „Startowską” rodzinę. Od wielu lat nasze motto brzmi: Start zmienia życie przez sport.©©

AUTOREKLAMA

0011460302

63. PLEBISCYT SPORTOWY „GAZETY LUBUSKIEJ”



W czwartek, 29 stycznia nagrodzimy **Najlepszych i Najpopularniejszych Sportowców, Trenerów, Drużyny oraz Młode Talenty Sportowe** z naszego regionu.

Na gali pojawią się laureaci plebiscytu sportowego oraz zwycięzcy nagrodzeni przez Kapitułę.



ORGANIZATOR

GAZETA LUBUSKA

PARTNERZY GALI REGIONALNEJ:



Lubuskie
Warte zachodu



WOJEWODA LUBUSKI
MAREK CEBULA



Oculistic



ESTETYKA PIĘKNA
EYBILLA

PARTNERZY REGIONALNI:



PGE
Zielona Góra



LOTTO



EB-F
DEVELOPMENT



FUTURE
Nieruchomości Gorzów

PARTNER WSPIERAJĄCY



FRANCEPOL
TRANSPORT I SPEDYCJA

SPORT

www.sportowy24.pl

KOSZYKÓWKA

Po turnieju o Puchar Polski, zespoły żeńskiej ekstraklasy wracają do gry o ligowe punkty. KSSSE Enea AJP Gorzów wystąpi jutro w Sosnowcu, mierząc się w 16. serii spotkań z tamtejszym MB Zagłębiem (początek meczu o godz. 18.00). Gorzowianki już dwukrotnie pokonały w tym sezonie najbliższe rywalki - 83:76 (po dogrywce) w OBLK i 99:72 w półfinale PP. Powtórka mile widziana.



FOT. AZS AJP GORZÓW/FB

KOSZYKÓWKA

W 16. serii spotkań PLK Zastal Zielona Góra zmierzy się jutro o godz. 15.30 z Energią Treflem w Sopocie. Pierwszy pojedynek zakończył się wygraną zastalców 92:90, ale teraz faworytami są trzeci w tabeli sopotanie.

Lubię poczuć klimat miasta, dla którego gram

Maciej Noskiewicz
mnoskiewicz@gazetalubuska.pl

KOSZYKÓWKA. - Zielona Góra żyje koszykówką. Niesamowicie, że możemy czuć tę atmosferę, pasję i emocje - mówi Andrzej Mazurczak, posiadający polskie i amerykańskie obywatelstwo zawodnik Zastalu.

Jesteś wielkim fanem i miłośnikiem koszykówki. To prawda, że po treningu zawsze zostajesz w sali, bo lubisz zorganizować sobie indywidualny trening?

Nawet nie lubię mówić o bascecie, że to praca. Codziennie wstaję i robię to, co kocham, a wiem, że większość ludzi na świecie nie może tak powiedzieć.

Gdy zaczynałeś swoją przygodę z basketem, jeszcze w Stanach Zjednoczonych, to od razu, jako dzieciak, poczułeś: „kurczę, ale mi się to podoba”?

Myślę, że nie. Grałem w piłkę nożną, nawet w polskim klubie, gdy byłem młodszy. Trenowałem w USA. To była drużyna, nazywana Warta Chicago, a później Wisła Chicago.

Właściwie sami Polacy w niej grali. Pamiętam jednak, że przyszedł taki moment, że już nie chciałem piłki nożnej. Płakałem, bo chciałem grać tylko w kosza. Miłość do basketu zaszczerpił we mnie brat, który wtedy grał. A ja razem z nim.

Jesteś fanem koszykówki amerykańskiej rodem z NBA, czy może bardziej tej europejskiej?

Kiedy mieszkałem w Stanach, to dużo oglądałem NBA i było tylko to. Ale teraz, jak zacząłem grać w Europie, to Euroliga mi się oczywiście spodobała i oglądałem mecze codziennie. Nie ukrywam, że oglądałem też mecze Orlen Basket Ligi, ale czasami nawet polską pierwszą ligę. Oglądałem bardzo dużo meczów. Myślę, że dziś bliższa mi jest koszykówka europejska.

Będąc w Chicago, jako przedstawiciel rocznika 1993 załapałeś się jeszcze na erę Michała Jordana? Lizałeś magii koszykówki Chicago Bulls?

Na meczach nie byłem, ale pamiętam, jak tata z bratem śledzili te mecze. Gdy Chicago Bulls grało wieczorami, to w mieście była cisza. Każdy



Andrzej Andy Mazurczak (z piłką) prowadzi grę Zastalu

był przyklejony do telewizora. Dziś Chicago też żyje koszykówką i niezależnie, gdzie pojedziesz w mieście, to zawsze zobaczysz kogoś, kto gra na tzw. orliku czy w parku. I to jest bardzo fajna rzecz.

Masz idola?

Jest ich kilku. Myślę, że Kobe Bryant przede wszystkim. Słucham też tacy koszykarze, jak Allen Iverson, Jason Williams, Steve Nash. Dużo. A z Chicago to Derrick Rose.

Przejdźmy na zielonogórskie podwórko. Jak duże znaczenia ma dla ciebie osoba trenera Arkadiusza Miłoszewskiego? Jest między wami duża więź?

Jest, choć myślę, że to jest naturalne, iż rozgrywający i trener mają taki kontakt. Ja byłem nauczony od małego, że rozgrywający ma być przedłużeniem ręki trenera na parkiecie. To zaufanie jest z obu stron i to na pewno ułatwia dużo spraw na treningach lub podczas meczów. Dużo dyskutujemy w sprawie różnych taktycznych rozwiązań, czy to w naszych meczach, czy w innych. Przyznam, że trener widzi coś we mnie i jestem wdzięczny za to, że dał mi szansę i wierzy we mnie. Takie wzajemne zaufanie ułatwia wiele spraw.

W jaki sposób postrzegasz Zieloną Górę jako miasto? Do brze się tu czujesz?

Przyznam, że gdy podpisałem po raz pierwszy kontrakt w Zastalu kilka lat temu, oczekiwałem zupełnie innego miasta. Myślałem, że będzie mniejsze. Dziś uważam, że bardzo wygodnie się tu mieszka. Jestem z Chicago,

więc jestem przyzwyczajony do wielkiego ruchu, ale małe miasto też ma swoje plusy. Wszędzie jest blisko, nie ma zbyt dużych korków. Dla mnie poczekanie w aucie 5-10 minut to nic strasznego. Do tego hala CRS robi swoje. Nawet gdy byłem zawodnikiem MKS Dąbrowa Górnicza to przyznawałem, że hala w Zielonej Górze jest najlepsza w Polsce. Miasto żyje koszykówką i to jest niesamowita rzecz, że możemy czuć tę atmosferę, pasję i emocje.

A masz tu jakieś swoje ulubione miejsca?

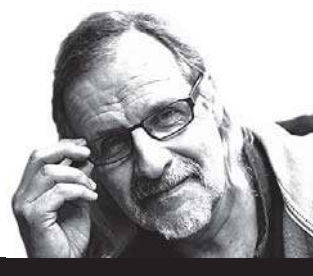
Lubię wyjść czasami do różnych restauracji, ale także przebywać na rynku. Duże wrażenie robi na mnie Wino-branie. Miasto żyje wtedy na sto procent.

Zielona Góra żyje też żużlem. Byłeś już na jakimś meczu Falubazu?

Tak, byliśmy przed sezonem. Gdy byłem młodszy, to podczas wakacji w 2001 roku dziadek zabrał mnie na żużel do Torunia. Naprawdę mi się spodobało. Zawsze lubię poczuć miasto, w którym przebywam. ©P

MOIM ZDANIEM

Andrzej Flügel



Niektórzy twierdzą, że fajnie jest, jak w plebiscytach dojdzie do niespodzianki. Kiedy wygra ten, na kogo nie stawiano, a dodatkowo jest ciekawiej, gdy pokona absolutnego faworyta. Tak było plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na najlepszych sportowców 2025 roku. Wygrała dwukrotna mistrzyni świata, kajakarka górska

Klaudia Zwoleńska, przed zwyciężczynią Wimbledonu, tenisistką Iga Świątek. Od strony merytorycznej oceny wagi dyscypliny w świecie sportu, jego znaczenia czy popularności można się chwycić za głowę. Z drugiej - jeśli czołową dziesiątkę wybierają Czytelnicy i robią to za pomocą kuponów i SMS-ów - można przypuszczać, że środowisko

NAJLEPSZY CZY NAJPOPULARNIEJSZY?

sportowca, reprezentującego mniej popularną dyscyplinę, sąsiedzi, znajomi czy nawet ludzie mieszkający w tej samej miejscowości albo regionie, z którego wywodzi się ów sportowiec, mogą mieć ochotę, by wywindować go w górę. I tak właśnie się zdarzyło. Zresztą takich kontrowersji było więcej. Mnie zaskoczyła zaledwie czwarta pozycja żużlowego mistrza świata Bartosza Zmarzlika, który w 2025 roku zrobił to po raz szósty i brak w dziesiątkę dwukrotnej złotej medalistki mistrzostw świata, kajakarki AZS AWF Gorzów Anny Puławskiej.

W sumie wybiera się formalnie najlepszych, a właściwie to najpopularniejszych albo tych, wokół których zmoobilizuje się najwięcej fanów i nie straszny im wydatek na SMS-y. To wielka bolączka plebiscytu „PS”, który ma już sto lat i oby kolejne sto lat go prowadził. Mam nadzieję, że jego organizatorzy widzą problem, bo czy rzeczywiście wygrał najlepszy? Zresztą jak porównać osiągnięcia siatkarza, kierowcy rajdowego, kajakar-ski górskiej czy tenisistki? Jak wyważyć wartość sukcesu? Co brać pod uwagę? To stałe dylematy we wszystkich plebiscytach.

W tym naszym, w „Gazecie Lubuskiej”, oczywiście nie mającego porównania do tego „Przeglądu Sportowego” (ale co by nie mówić, najstarszym w regionie), jako wieloletni organizatorzy mieliśmy podobne dylematy. Kiedyś wygrał powszechnie uwielbiany żużlowiec, który w tamtym roku oprócz solidnej jazdy w ekstraklasie nie osiągnął niczego więcej. Jednak wyprzedził mistrza olimpijskiego! Czytelnicy nie kierowali się rozsądnym wyważeniem wartości sukcesu, bo wtedy złoto olimpijskie powinno przebić solidne punktowanie w ekstraklasie, tylko sym-

patią i sentymentem. Na szczęście poradziły sobie z tym i od paru lat Czytelnicy wybierają najpopularniejszych, a eksperci najlepszych. To okazało się jednym możliwym rozwiązaniem, które pozwoliło docenić sukcesy sportowców z mniej popularnych dyscyplin, a kibicom dać wyraz ich szacunku dla tych, których po prostu lubią w swoich miastach i powiatach.

Nie chcę gdzieś z dalekiej prowincji pouczać kolegów z najstarszej polskiej sportowej gazety, ale uważam, że szanując tradycję, powinni jednak pomyśleć o zmianach. Naprawdę warto. ©P

GAZETA LUBUSKA

www.gazetalubuska.pl

Redaktor naczelna **Maja Majewska**,
Z-ca redaktora naczelnej **Mateusz Różański**,
Prezes Makroregionu **Robert Glinkowski**,
Dyrektor marketingu oddziału **Aleksandra Sobolewska**

Redakcja al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra
skr. pocztowa 120, tel. 68 32 48 600, 68 32 48 805
fax 68 32 48 872, redakcja@gazetalubuska.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskappress.pl, tel. 12 688 85 10

